BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO W GDAŃSKU

Stron 8 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 25 zł.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII Warszawa, dn. 22. X. 1950 r. Nr 42 (273)

Biblioteka Gdańskiego Urlopu — 1950

CIU 9037

W NUMERZE:

H. WORCELL — Spółdzielcy z Bielic. D. GODLEWSKA — O nowej książce St. Piętaka. A. WASILEWSKI — Dwaj poeci Woroszylscy. K. URBAŃSKI — Walka o kadry. W 40-LECIE ŚMIERCI MARII KONOPNICKIEJ. 110-LECIE URODZIN D. J. PISARIEWA. W. OSMENDA, L. POKORA — Dyskusja o kadrach literackich (5). W. NATANSON, J. TRZNADEL—Recenzje. S. MIKULSKI — W Uninie. A. DASZEWSKA — Janek Podsiadło. J. BIENIEK — Bardzo dalekie i wciąż bliskie. KSIĄŻKI KUK.

ROCZNICA BITWY POD LENINO — ŚWIĘTEM WOJSKA POLSKIEGO

Na zdjęciu: Gen. Świerczewski przeprowadza odprawę z oficerami 3 Dyw. przed wyruszeniem jej w stronę granicy Polski na Bugu

Wdzięczność

Pod Lenino
nie liczyłaś, o Polsko,
rzednącej tyraliery.
Śmiercią
wolności szły kuriery:
żołnierz ginął!

Kościuszkowska
Dywizja bohaterska
boju zostawiła plon —
Wolność!
Rozkołysany bił dzwon
szczęścia rozkaz,

co krwią młodych
lasami, polami szedł;
koszmarem w popieliskach,
bratem
poległym we wrzosowiskach
co odchodził.

Kraju życie,
dzieci uciszony krzyk,
wolność ojców i braci
wdzięcznie,
Polsko, musisz zapłacić
swym rozkwitem!

LUCYNA PENCIAKOWA
(Głos Czytelnika)

Braterska pomoc i żołnierska koleżeńskość cechowała żołnierzy w Dywizji Kościuszkowskiej

STANISŁAW CIEŚLAK

„TO MY I NASZA PRACA"

Pokaźna już ilość chłopskich wypowiedzi na temat Planu 6-letniego, zamieszczonych na łamach „Wsi" daje podstawę do rzucenia kilku uwag w celu dalszego rozwinięcia i pogłębienia dyskusji.

Wyjaśnianie wielkich zamierzeń Planu 6-letniego, popularyzowanie go w terenie, wskazywanie na to co nowe, postępowe, zgodne z planem w życiu gromady czy gminy, zwalczanie tego co reakcyjne, stare, zmurszałe i stawiające opór narastającemu porządkowi socjalistycznemu,

ukazywanie bliskiego związku ogólnokrajowych zamierzeń planu z przejawami codziennej pracy każdej gromady, gminy, powiatu, organizowanie oddolnej inicjatywy mas pracujących, bez której plan nie może być wykonany — oto najważniejsze dziś zadanie całego aktywu politycznego i społecznego na wsi, a więc i pisarzy i korespondentów chłopskich.

Nie można w tej pracy ograniczać się tylko do popularyzowania wielkich zamierzeń planu, bez zwrócenia uwagi na właściwą organizację sił społecznych dla wykonania planu. Pisarz i korespondent winien wyraźnie wskazywać na potrzebę nowego przegrupowania sił klasowych, na konieczność mobilizacji opinii społecznej swego terenu wokół określonych, najważniejszych, kluczowych ogniw Planu Sześcioletniego. Bez takiego czynnego udziału pisarzy w toczącej się biwie klasowej o wykonanie Planu Sześcioletniego niemożliwe byłoby osiągnięcie zwycięstwa.

Dyskusja jednak na łamach „Wsi" wykazała, że cały szereg spraw z problematyki Planu 6-letniego nie dotarł jeszcze, albo dotarł zbyt słabo do świadomości wsi. Zdarzają się nawet w wypowiedziach akcenty, które świadczą o niedostatecznej jeszcze czujności klasowej, o ześlizgiwaniu się w dyskusji i w działaniu terenowym na płaszczyznę chytrze podsuwaną przez wroga klasowego.

Oto garść przykładów.

1) W planowaniu gospodarki narodowej obowiązuje pierwszeństwo produkcji.

„Określona produkcja — pisał Marks — warunkuje określone spożycie, rozdział, wymianę, określone warunki wzajemne tych różnych momentów" 1)

„Rozdział sam jest wytworem produkcji nie tylko w stosunku do przedmiotu albowiem rozdzielone mogą być tylko rezultaty produkcji, ale i w stosunku do formy, albowiem określony sposób udziału w produkcji, określa formę rozdziału — formę, w której każdy bierze udział w rozdziale" 2)

W jaki sposób po zdobyciu władzy klasa robotnicza w sojuszu z pracującym chłopstwem buduje nowy ustrój? Właśnie przez wprowadzenie zmian w **systemie produkcji**, co wywołuje wytworzenie się nowych stosunków wytwórczych i społecznych.

Dlatego plan produkcji jest sercem całego Planu Sześcioletniego, a walka o jego wykonanie głównym i podstawowym zadaniem planu. Niezrozumieniem tej sprawy i uleganiem wpływom kapitalistycznej ekonomii tłumaczyć należy fakt, że tak wiele miejsca w wypowiedziach naszych działaczy zajęły sprawy **spożycia i wymiany**, a zbyt mało miejsca i uwagi poświęcono problematyce produkcji.

To właśnie ekonomia kapitalistyczna, kwestionuje fakt, że źródłem wszelkich wartości i całego dochodu narodowego jest produkcyjna praca ludzi, a widzi siłę napędową całej gospodarki w dziedzinie spożycia i wymiany a nie w produkcji i usiłuje całą uwagę opinii publicznej skoncentrować na problemach rynku towarowego i gry sił na nim.

Wysuwanie w planowym systemie gospodarowania na czoło spraw produkcji oczywiście nie oznacza lekceważenia w planie potrzeb spożycia i wymiany, spraw konsumcji. Znalazły one dostatecznie wymowny wyraz w postanowieniach Planu 6-letniego. Ale odrzucamy zdecydowanie prymat konsumcji.

Dalej. W wypowiedziach nie może zabraknąć nie tylko konkretnych, mobilizujących opinię, przykładów walki o wzrost produkcji i o jej potanienie. Mocny wyraz znaleźć musi także druga sprawa, **nowego ustawienia się ludzi do wykonania nowych zadań produkcyjnych.**

Głosy w dyskusji słusznie i trafnie zwracały uwagę na rewolucyjny przełom, jaki na odcinku nowej techniki zaopatrzenia w środki produkcji, nastąpi na wsi w okresie Planu Sześcioletniego. Nowa technika to bardzo ważna rzecz, ale to nie wszystko. Technika daje rezultaty tam tylko gdzie jest należyta organizacja pracy. Wielką sprawę nowej organizacji pracy, nowego ustawienia się ludzi do wykonania nowych zadań produkcyjnych poza kilkoma głosami pominięto milczeniem.

Nie wystarczy zakończyć wypowiedź akcentem o spółdzielczości produkcyjnej, trzeba pokazać jak u nas, w naszej wsi ustawiają się wykonania wielkich zadań Planu Sześcioletniego, spółdzielnie produkcyjne, PGR, indywidualni chłopi i ich grupy plantatorów i hodowców, Koło gromadzkie ZSCh i ZMP, spółdzielnie gminne itp. wtedy dopiero otrzymamy pełny i właściwy obraz.

2) Wykonanie Planu Sześcioletniego wymaga uruchomienia olbrzymich, a niewykorzystanych jeszcze rezerw tkwiących w całej naszej gospodarce a więc i w gospodarce rolnej.

Przecież połowę sum potrzebnych na planowaną rozbudowę całego gospodarstwa narodowego, a więc ponad 3 biliony (3.000.000.000.000) złotych musimy uzyskać i z pewnością uzyskamy przez obniżenie kosztów produkcji na drodze wzrostu wydajności pracy, lepszego wykorzystania ziemi, maszyn, urządzeń, skrócenia cyklu produkcyjnego, przyśpieszenie obiegu środków finansowych, oszczędności w zużyciu surowców itp. w każdej dziedzinie gospodarki, a nie tylko w przemyśle.

Na wskazanie tych rezerw i uruchomienie ich nie zwrócono dotychczas dostatecznej uwagi. Wskazano trafnie i wyczerpująco na istniejące rezerwy pracy. (J. Bieniek), podkreślono możliwości rozszerzenia bazy paszowej (J. Jelonek, Grabowski i in.), ale widać, że planowane dla każdego terenu cyfry produkcji rolnej, wydajności z ha, skupu rolnego itp. nie wszędzie jeszcze zostały na wsi przemyślane, że część aktywu wiejskiego nie szuka jeszcze razem z masami uporczywie i wytrwale nowych metod pracy prowadzących do ich osiągnięcia. Widocznie niedostatecznie analizuje się jeszcze wyniki dotychczasowe, nie śledzi za wynalazczością i inicjatywą mało i średniorolnych chłopów w kierunku zwiększenia produkcji rolnej.

3) Plan zaczyna się, a nie kończy z chwilą ustalenia cyfr kontrolnych i wskaźników ekonomicznych.

Stała systematyczna kontrola wykonania planu sprawowana przez czynniki polityczne i społeczne—to jeden z najistotniejszych, a stale jeszcze pomijanych, elementów planowego systemu gospodarowania.

Mamy już za sobą trzy kwartały wykonania planu, a w rolnictwie takie decydujące wydarzenia jak wiosenną akcję żniwną, jesienną akcję siewną, pogłębienie i rozszerzenie planowego oddziaływania na rolnictwo w formie nowych kontraktów, nowej polityki podatkowej i kredytowej, nowego planu skupu zboża, weszły również w życie nowe zasady elektryfikacji wsi itp.

Chcemy się dowiedzieć, czy i w jakim stopniu wykonały swój plan wsie wymienione w głosach terenu. Jakie doświadczenia i wnioski wyciąga aktyw wiejski z takiego wykonania planu, co zamierza zrobić aby w Wierzchanach, Karnkowie, Stanisławowie Dolnym i w innych wsiach zwiększyć osiągnięcia, a usunąć dostrzeżone braki?

Jeśli palącą i pilną sprawą jest usprawnienie wymiany i zaopatrzenia w danej wsi, to czyż nie należy wyjść od analizy planu pracy na rok bieżący i przyszły miejscowej Gminnej Spółdzielni? Porównać go z rezultatami pracy w roku zeszłym, ocenić krytycznie tempo rozwoju, nie ukrywać trudności, ale i szukać sposobów ich przezwyciężania?

4) Ustrój kapitalistyczny zmierzał wytrwale, choć bezskutecznie do ukształtowania w masach pracujących postawy niewolniczej. Kapitaliści i obszarnicy pracę produkcyjną otaczali pogardą, lekceważyli cenne, praktyczne doświadczenie ludzi pracy, odmawiali masom pracujących prawa do twórczości, do kształtowania swych losów. Łudzili krzywdzonych i wyzyskiwanych, że przez odwoływanie się do „łaski pańskiej" mogą uzyskać pewne polepszenie swego losu.

I dziś wróg klasowy usiłuje utrzymać chłopa mało a zwłaszcza średniorolnego w bierności i w bezwładzie. Wie bowiem dobrze, że bez uruchomienia przez klasę robotniczą i jej partię, tej energii rewolucyjnej i inicjatywy twórczej, która jeszcze w znacznym stopniu niewykorzystana, drzemie w masach pracującego chłopstwa, niemożliwa jest budowa socjalizmu. W tym celu zniekształca wróg klasowy i wypacza zasadę **centralizmu demokratycznego**, która leży u podstaw struktury państwowej w ustroju socjalistycznym i w okresie przejściowym do socjalizmu.

Ta zasada znajduje swój wyraz i w najwcześniejszej funkci państwa ludowego jaką jest planowe kierowanie procesami gospodarczymi.

Istotą centralizmu demokratycznego w przeciwieństwie do centralizmu biurokratycznego **jest umiejętne łączenie interesów ogólnych narodu z interesami lokalnymi przy pełnym wykorzystaniu oddolnej inicjatywy mas pracujących. Jedną z głównych form tego powiązania jest inicjatywa Rad Narodowych i ich organów wykonawczych — prezydiów rad narodowych.**

Byłoby rzeczą niesłychanie cenną, mocniejsze uwypuklenie przez pisarzy terenowych rosnącej z dnia na dzień roli Rad Narodowych w ustalaniu zadań i kontroli ich wykonania w okresie Planu 6-letniego. Ta inicjatywa pisarzy przyczyniłaby się z pewnością do usunięcia pewnych objawów szkodliwego centralizmu biurokratycznego i oderwania się od konkretnych potrzeb terenu, jakie zaobserwować można jeszcze w niektórych, na szczęście coraz mniej licznych, Radach Narodowych. Nowa bowiem organizacja Rad Terenowych zabezpiecza bezpośredni wpływ mas pracujących na rozwój gospodarki i kultury swego terenu, umożliwia wydobycie olbrzymich rezerw i przyśpieszenie rozwoju sił wytwórczych oraz polepszenie dobrobytu i kultury mas pracujących.

We wszystkich wypowiedziach rzuca się w oczy pogłębiająca się znajomość swojego terenu, bez której zresztą nie ma działacza i organizatora życia społecznego. Widać, że nasi pisarze i korespondenci uczą się wytrwale i forsownie problematyki ekonomicznej i społecznej nowego terenu. Umieją dać nie tylko suche dane statystyczne, ale dostrzegają i prawidłowo analizują istniejący układ sił społecznych, widzą wyraźnie linię frontu walki klasowej, znają główne kierunki uderzeń wroga klasowego i umieją go zdemaskować.

Widać, że narasta zrozumienie klasowego sensu Planu Sześcioletniego i świadomość, że Plan 6-letni nie jest ponadklasowym przewidywaniem przyszłości ale bojowym programem klasowym. Że nie da się i nie można oddzielić dwóch spraw tak wyraźnie i łącznie uwypuklonych w planie: **przebudowy ustroju w kierunku socjalizmu i wzrostu sił wytwórczych** jako podstawy do podniesienia dobrobytu, oświaty i kultury. Ze specjalnym zadowoleniem podkreślić należy fakt, że walka z idealistycznym pojmowaniem rozwoju społecznego posuwa się naprzód, że nie tylko Maria Kuchta cytowana przez Stanisława Krakowiaka ale i inni wiedzą, że narastająca szybko, dzięki naszej wspólnej pracy, nowa baza ekonomiczna burzy starą a tworzy nową świadomość. Pisarze coraz częściej i trafniej dostrzegają, jak w związku ze zmianami ekonomicznymi rosną nowi ludzie, i mają ambicję przyśpieszyć rozwój tej nowej świadomości oddziaływaniem literackim i publicystycznym.

Garść wypowiedzi już zamieszczonych (za którymi napłyną z pewnością i dalsze) świadczy, że wbrew propagandzie i działaniu wroga narasta szybko na wsi nowa świadomość klasowa. Coraz mniej jest mało i średniorolnych chłopów, którzy traktują Plan 6-letni jako dar państwa Ludowego i klasy robotniczej dla wsi, której rola ogranicza się do zręcznej prośby i zgrabnego podziękowania.

„Plan 6-letni to my i nasza praca" pisze słusznie ob. Kozicki z Karnkowa, „dorabiamy się i dokształcamy" — mówi ob. Maria Kuchta z Rokicin, „trzy razy więcej zrobimy w Planie 6-letnim w naszej gminie i w Polsce niż dotychczas" — stwierdza ob. Józef Misiak wyliczając konkretne zamierzenia swego terenu — a tak jak oni, myśli i działa coraz więcej mało i średniorolnych chłopów w Polsce.

Stanisław Cieślak

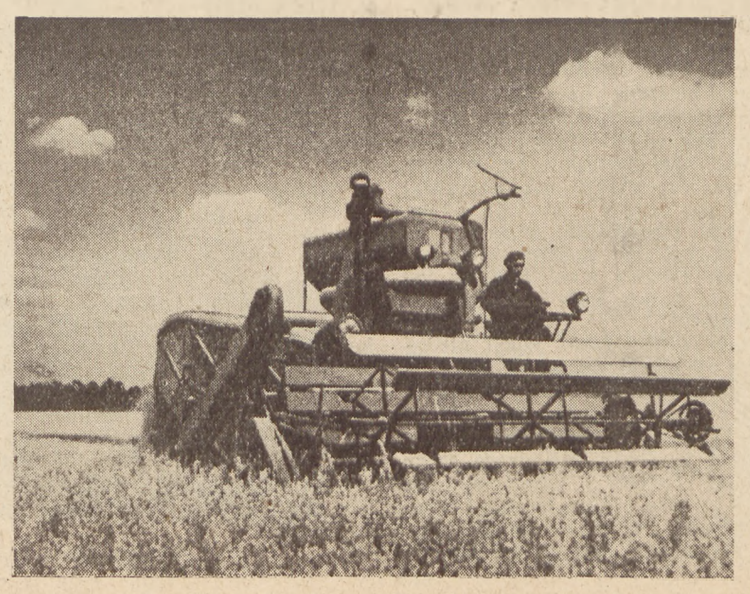

Zdjęcia na stronie 1-ej — WAF

HENRYK WORCELL

SPÓŁDZIELCY Z BIELIC

Wczesnym latem byłem już w Bielicach. Wielką niespodzianką był dla mnie tamtejszy nauczyciel, Bronisław Góralik, korespondent „Wsi" i „Gromady", który z benedyktyńską pracowitością pisze dokładną, opartą na wszelkich dostępnych mu źródłach, monografię Bielic. Ludność, jak wszędzie na Ziemiach Odzyskanych, bardzo mieszana — przeważają zabużanie. Spółdzielnia liczyła wczesną wiosną dwudziestu trzech członków. Później pięciu odpadło; byli to ludzie, którzy odeszli do fabryk, do POM-u lub na stanowisko sekretarza ZSCh. Oziminy mieli zebrać indywidualnie, okopowe oraz zboża jare na użytek wspólny. Nie posiadali jeszcze wspólnej obory ani inwentarza żywego. Od zespołowego Pioterkiewicza Stanisława i starego Chrzanowskiego dowiedziałem się, że mieli wielkie trudności z obróbką buraków cukrowych, którymi obsiali dwanaście hektarów. Słowem: spółdzielnia w zarodku, ze wszystkimi jej troskami i nadziejami.

Poraz trzeci wybrałem się tam w początkach września. Przybyłem wczesnym popołudniem. Chciałem wreszcie poznać przewodniczącego Osetka Franciszka i sekretarza Góralika Józefa (brata nauczyciela, o którym już wspomniałem) ale nie zastałem ich w biurze.

Stanąłem przed wjazdową bramą ośrodka. Zabudowania iście dworskie o murach metrowej grubości, tworzyły prostokąt otaczający rozległe podwórze z obmurowaną gnojownią pośrodku. Jednak wśród tych „masywnych ruder", stajen, chlewów, stodół, wozowni, panował teraz ożywiony ruch. Chłopi uwijali się wśród maszyn, majstrowali przy siewnikach, wtaczali beczkowozy pod dach, wyładowywali cegły z wozu, jakiś chłopak mieszał wapno w korycie, pokrzykując na swych kolegów szkolnych, którzy baraszkowali na podwórzu. Skierowałem się ku stajni, gdzie również krzątali się ludzie, i już w progu natknąłem się na zespołowego Pioterkiewicza. Przywitał się ze mną tak, jak gdybyśmy się nie trzy miesiące temu, lecz wczoraj widzieli, podał mi rękę przemawiając, równocześnie do swych towarzyszy remontujących stajnię.

— ...rozpaprać robotę łatwo, naprawić trudno. Jak się zaczną wykopki, to do-wi-dze-nia z siewem! Będziemy dziadować z robotą do grudnia. Bo wie pan — tu Pioterkiewicz zwrócił się do mnie—wczoraj był u nas agronom powiatowy i gadał, że jeszcze zawcześnie siać.

— Może ma rację — odrzekłem — przecież to dopiero początek września.

— Ja też tak mówię — odezwał się syn Pioterkiewicza stojący na drabinie, z pędzlem w ręku i twarzą upstrzoną piegami wapna — bo jak zboże wybuja, a przyjdzie ostra zima?..

— Wszystko jedno — przerwał mu ojciec — jaka by zima nie była — siać trzeba. Autochtoni znają tetejszy klimat lepiej niż my i zawsze wczas sieją. A druga rzecz: jak nie zasiejemy w ciągu najbliższych tygodni to potem zawalimy z robotą na całego, bo przyjdą wykopki. Pan wie, mamy dwanaście hektarów buraków i piętnaście ziemniaków.

— Ale i więcej ludzi mamy, więcej rąk do roboty — odezwał się ślusarz Bereźnicki, który manipulował przy rurach doprowadzających wodę do żłobów.

Rozejrzałem się po stajni. Była już wybielona. Czwartą jej część zajmowało kilkanaście koni, po przeciwnej stronie stało sześć rasowych czarno-białych krów. Konie miały tu stać tymczasowo, dopóki nie zostanie wyremontowana stajnia przeznaczona dla nich po przeciwnej stronie podkórza. Tu się będą mieściły tylko krowy. Na razie jest ich tylko sześć, ale już spółdzielcy wyjechali w teren, by za uzyskany kredyt skupywać dorodne sztuki tej samej rasy. Prócz Pioterkiewiczów i Bereźnickiego pracowało w stajni dwóch ludzi: jeden młody, wprawiał szyby do okien, a stary Chrzanowski, którego już dawniej poznałem, pracował jako murarz naprawiając zagródkę dla cieląt.

— Ho ho! — zawołałem — widzę, żeście się serdecznie do roboty wzięli.

— A co pan myślał — odrzekł starszy Pioterkiewicz — na co będziemy czekać? Tu nam już jedna firma budowlana chciała remontować cały ośrodek i zrobiła nawet kosztorys. Chcieli 1.250.000 zł! No, nie powiem że to drogo, tu roboty huk, ale my znów nie możemy szastać milionami... Zabraliśmy się sami do roboty i wszystko razem będzie nas kosztowało 100.000.

— Iluż teraz macie członków?

— Trzydziestu siedmiu. I więcej by było, bo się ciągle zgłaszają, ale my na razie nie przyjmujemy.

— Czemu to?

— Taki już mamy plan. Spółdzielnia musi się rozwijać stopniowo. Wejdzie naraz dużo członków, to powstanie bałagan. Nie trzeba daleko szukać, bo w Siedzinie tak było. Zresztą, pan wie, ludzie są różni. Byli tu tacy, co się wyprzedali z inwentarza i potem się pchali do spółdzielni.

— Jamrozik jeszcze wczoraj zachodził do sekretarza — wtrącił ślusarz — pewnie myślał, że mu się uda wkręcić.

— Jamrozik jeden, a Szydło taki sam... Na wiosnę był z daleka od nas, a teraz widzi, że nam dobrze idzie, to chce przyjść z gołymi rękami. Ale niechby nawet był tą „panną bez posagu", tylko żeby miał chęć do roboty. Są tacy, co myślą, że jak wstąpią do spółdzielni, to będą leżeć do góry brzuchami, a maszyny za nich robić.

— Gęgała Franek... — poddał znów ślusarz.

— Gęgała Franek i Szydło i jeszcze inni by się znaleźli. Gęgała tak powiada: jak jest postęp i maszyny się fabrykuje, to jużci po to, żeby maszyny w polu robiły, a chłop siedział.

— A wiesz, on ma trochę racji— zawołał szklarz śmiejąc się na swej drabinie.

— Racji, racji — zaperzył się zespołowy Pioterkiewicz — będzie lżej, kiedy wykonamy plan 6-letni. Jak będzie pokój i socjalizm na całym świecie, wtedy co innego. Więcej będziesz na mechanikę pracował niż na siłę. A teraz to trzeba .. Eh, gadasz, że Gęgała ma rację, to czemu się uwijasz i sam robisz od rana do nocy?

— Bo nie chcę, żebyśmy sprawę tak zawalili jak w Siedzinie.

— A mnie ta Siedzina w głowie siedzi — wtrącił się ślusarz — bo ja wiem tyle, że jak w Planie 6-letnim produkcja rolna ma być zwiększona o pięćdziesiąt procent, to my musimy plan wyciągnąć...

Stary Chrzanowski, chłop o pomarszczonej, kwadratowej twarzy i żywych oczach, wyszedł z głębi stajni. Miał na sobie celtowy fartuch, w ręku trzymał kielnię. Zwyczajem ludzi, którzy znają wartość swej pracy i których do tej pracy nie trzeba zapędzać, usiadł swobodnie na jakiejś beczce i zapalił papierosa.

— Ty, Staszek — powiedział ciepło do Pioterkiewicza — lepiej byś zrobił, jakbyś poszedł w pole.

— Dawnom to był? Godzinę temu? Jakby co ważnego robili, to bym w polu siedział, ale bronowanie? Kosibie nie trzeba siedzieć na karku, on sam jeszcze chłopaków dopilnuje. Mnie ciągle ta kuźnia siedzi w głowie. Pan wie, kuźni nie mamy, to dla nas cholerny kłopot. Znam tę historię. Coraz liczniej powstające ośrodki maszynowe wyławiają fachowców, kowali, ślusarzy, fabryki również poszukują tych ludzi. Trafia się, że wieś jakaś zostaje bez kowala i narzędzi. Spółdzielnie produkcyjne łatwiej ten problem rozwiązują, bo wspólnymi siłami. Dokształcają swego kowala-amatora, narzędzia wyszukują po damach, częściowo dokupują. Tak właśnie powstaje kuźnia w Bielicach. Pioterkiewicz wszystko chciałby zdobyć bez pieniędzy, wszystko tworzyć z niczego. Znane jest jego powiedzenie, które powtarza niemal na każdym zebraniu: „jeden człowiek zrobi tyle, co jeden, ale dwóch może robić tyle, co czterech".

Stary Chrzanowski rzucił niedopałek na ziemię, dokładnie przydeptał go butem i zwrócił swą kwadratową twarz ku bramie.

— O, nasz przewodniczący idzie...

Trzej mężczyźni szli drogą coraz wolniej i wreszcie zatrzymali się przed bramą, żywo o czymś rozprawiając. Przewodniczącego jeszcze nie znałem, domyślałem się tylko, że jest nim ten najniższy spośród trzech łysawy i najwymowniejszy.

— Co to za człowiek, ten Osetek? — zapytałem Pioterkiewicza— Zdolny jaki chłop?

— Ee, nie ma co mówić, ma głowę na karku. Jak trzeba nam coś załatwić w powiecie albo województwie, to tylko on.

— Partyjny?

— A jakże. Przeszedł dwa kursy, na robocie się zna, i jest otrzaskany ze światem. On i w Radzie Narodowej i wszędzie. Ale...

— Ale co?

— On tu długo nie będzie, województwo chce go ściągnąć do siebie.

Jakoś przewodniczący Osetek nie mógł się oderwać od swych towarzyszy, długo z nimi rozmawiał. Stary Chrzanowski podniósł z ziemi kielnię i dźwignął się z beczki.

— Widzisz Stasiu — rzekł do Pioterkiewicza — jakoś naszych z Łambinowic nie widać...

— Ano! Trzy furmanki pojechały rano do Łambinowic po nawozy i nie ma ich. Niech to pierony... może im znów koła nawaliły! Ja powiadam, że jak ta kuźnia nie będzie gotowa w tych dniach, to do luftu z całą robotą.

W tej chwili przy bramie rozległ się głos przewodniczącego Osetka:

— Pioterkiewicz! Ile tam macie owsa w magazynie?

— Chcesz dokładnie wiedzieć? Bo musiałbym do książki zajrzeć.

— Nie, mniej więcej.

— Będzie chyba około trzech ton.

Osetek pożegnał swych towarzyszy, i skierował się ku nam, kulejąc na jedną nogę i świecąc łysiną.

— Nie ma co — mówił z daleka do Pioterkiewicza — trzeba z tymi końmi jak najprędzej załatwić. Ile ich jest, trzydzieści dwa? No to śmiało można dwanaście sztuk sprzedać. Zostanie dwadzieścia i to za dużo. POM obiecał nam dwa traktory do zimowej orki. Acha, Duda telefonował z Niemodlina...

— Ale! — ożywił się Pioterkiewicz — kupili co?

— Tak. Wyniuchali pięć sztuk czarno-białych, ale weterynarz dwie odrzucił. Chore. Gruźlica, nie gruźlica, coś tam nie w porządku. Ciężko będzie skompletować jedną rasę. Dzień dobry — zwrócił się do mnie — pan w jakiej sprawie?

Zawsze się głupio czuję, kiedy muszę się na wsi przedstawić jako reporter, korespondent, literat... Wolałbym skłamać, powiedzieć po prostu, że jestem zainteresowany rozwojem spółdzielni ze względów czysto praktycznych, bo mam zamiar przystąpić do pracy zespołowej w swojej wsi. Ale tak nie można, przewodniczącemu trzeba pokazać dokumenty.

— Aa, proszę bardzo — powiedział Osetek zwracając mi legitymację — proszę, niech się pan rozgląda, niech pan patrzy, niestety beze mnie, bo jadę do Niemodlina.

— No, no — odparłem — pytanie, czy jest tu na co popatrzeć. Daleko wam do takiej spółdzielni, jak w Wilamowej.

— O-wa, ...Wilamowa będzie obchodzić rocznicę, stoi już na dwóch nogach, a nasza spółdzielnia, to niemowlę. Ale przyjdź pan tu za rok! Na pewno nasi ludzie nie będą szukać zarobku po pegeerach jak ci z Siedziny.

— A właśnie — podchwyciłem— co to jest z tą Siedziną, czemu tam tak źle idzie?

— Zły start wzięli. Nie przebierali w ludziach, przygarnęli wszystkich. Leniuch, nie leniuch, reakcjonista, nie reakcjonista — wszyscy weszli do spółdzielni. A należało selekcjonować jak te ziemniaki zarażone wirusem. Pan wie, że jeden chory krzak może z biegiem czasu zarazić całe pole. My się dobrze zastanawiamy, zanim przyjmiemy nowego członka... Pomału, pomału, nic „na hurra". Ja uważam, że to jest najwłaściwsza taktyka. Niech w każdej wsi tworzą zespół z kilkunastu nawet ludzi. To na początek wystarczy. Myśmy mieli na wiosnę osiemnastu i popatrz pan, teraz jest trzydziestu siedmiu. Co ich zachęciło? O, te zdrowe chłopy — wskazał na Pioterkiewicza i tych, co pracowali w stajni. — Te zdrowe, wyselekcjonowane ziemniaki

Henryk Worcell

W biurze spółdzielni

DANUTA GODLEWSKA

W OCZACH NATURALISTY

Ostatnio wydana książka Piętaka *) zawiera szereg opowiadań powstałych — jak zaznacza autor we wstępie — w różnych okresach życia, od prac najdawniejszych (rok 1930) aż do utworów z roku 1945: „Tworzą one neijako wybór moich utworów napisanych prozą".

Stanisław Piętak

Zestawienia tego rodzaju są zazwyczaj dobrym obrazem linii rozwojowej pisarza. Utwory chronologicznie pierwsze w tomie opowiadań Piętaka (autor niemal całkowicie zachowuje w zestawieniu opowiadań dość rzadki, a przejrzysty układ chronologiczny), takie jak opowiadanie tytułowe „Ostatni półkos", czy zwłaszcza „Ślepe żywioły", powstałe w okresie dwudziestolecia międzywojennego, pozostają pod względem artystycznym i ideologicznym całkowicie w kręgu burżuacyjnej maniery „literatury o wsi". To sprowadziło Piętaka albo na monowce „opowiadania o aurze wybitnie literackiej" (?), jak w „Ślepych żywiołach", albo do wystylizowanego obrazka ,jakim jest drugie z wymienionych opowiadań. Piętak, zdradzający od początku skłonności do naturalizmu, nie ustrzegł się rozwiązań typowych dla dekadenckich, burżuazyjnych kierunków literackich, stąd pochodzą owe „wybitnie literackie „Ślepe żywioły".

Opowiadanie to jest typowe dla maniery schyłkowej literatury mieszczańskiej.

Podstawowy konflikt utworu zbudowany został w oparciu o burżuazyjny schemat „psychiki chłopa": demoniczna drapieżność w walce o ziemię i powodowanie się „ciemnymi instynktami". Psychologistyczna analiza biologicznej nienawiści starego chłopa — podpalacza synowskiej zagrody jest jedynym ośrodkiem zainteresowania pisarza. Dominacja psycholigizmu w opowiadaniu nie tylko przesłania i wykrzywia obraz wsi i podstawowych problemów jej społecznego losu, nie tylko zaciera wszelkie konflikty klasowe w środowisku, ale uniemożliwia też stworzenie realistycznego obrazu rozkładu rodziny kułackiej. Sprawy rodziny Dąbków zostały sztucznie wyizolowane z całokształtu życia wsi i jej społecznego układu, a nawet schodzą na dalszy plan wobec drobiazgowej analizy pierwotnej nienawiści Kaźmirza Dąbka i spraw jego sumienia — (w pierwszej redakcji opowiadanie nosiło tytuł „Sumienie").

W żadnym z późniejszych opowiadań Piętaka nie obarczonych już co prawda balastem psychologizmu, nie można znaleźć realistycznego obrazu wsi. Opowiadania stają się naturalistycznymi obrazkami, obejmującymi małe wycinki życia, dalekie od typowości. Wybór ich niejednokrotnie podyktowany został względami „egzotyki" wiejskiej. Tak krótka forma literacka, jaką posługuje się Piętak, nie pozwala — to prawda — na wszechstronne naświetlenie poruszanych zagadnień. Z drugiej jednak strony daje to możliwości zwartej, a tym samym bardziej wyrazistej konstrukcji. Piętak roztapia się w nic nie znaczących szczegółach, wybiera tematy atrakcyjne dla pisarza naturalisty, pozwalające zagłębić się w rozdrabnianiu nieważnych epizodów „potocznego życia".

We wstępie autor sam podkreśla faktograficzny charakter niektórych swoich opowiadań (np. „Ostatni pokos"), co do innych jednak stwierdza, że „są to rzeczy o akcentach już wybitnie społecznych i krytycznych". Trzeba jednak bliżej sprecyzować pojęcie owej „krytyki", przejawiającej się w niektórych opowiadaniach tomu. W każdym wypadku nie jest ona oparta na właściwej ocenie klasowej sytuacji biedniaka i średniaka w systemie kapitalistycznym, nie prowadzi też do wniosków rewolucyjnych. Wbrew twierdzeniom autora, rozgraniczającego swoje opowiadania na „faktograficzne" i „społeczno-krytyczne", podział taki nie jest w tym tomie istotny. W opowiadaniu „Ostotni półkos", zakwalifikowanym jako faktograficzne, znaleźć można jakieś niezbyt mocno sprecyzowane przeciwieństwo interesów kułaka i biedniaka, przy czym w opowiadaniach zaliczonych do drugiej kategorii problem ten nie występuje zupełnie. Jest konflikt z dworem, („Strajk fornali"), („Folwarczni emeryci"), jest problem drogi awansu społecznego, zamkniętej dla chłopskiego syna, drogi scharakteryzowanej zresztą w bardzo ostrym tonie („Korepetytor"), nie ma zaś nigdzie rzetelnego, klasowego obrazu wsi. Bohaterowie opowiadań cierpią często na inteligenckie przerosty wrażliwości, są wyobcowani z wiejskiego środowiska, nie mogą stać się pełnowartościowymi reprezentantami wsi biedniackiej, a w części i średniackiej, którą nurtowały podówczas nastroje buntu i gniewu.

Wieś polska lat trzydziestych, lat ciężkiego kryzysu ekonomicznego i skrajnej nędzy chłopskiej, w strajkach, zjazdach, nawet wystąpieniach zbrojnych manifestowała swą nienawiść do faszyzującego reżimu sanacyjnego i rozgoryczenie z powodu własnego poniżenia i wyniszczenia ekonomicznego. To rewolucyjne wrzenie dołów chłopskich, hamowane ugodową, zdradziecką polityką prawicowych przywódców ruchu ludowego znalazło odbicie w powieściach przedstawicieli tzw. „literatury proletariackiej", stojących na pozycjach marksistowskich i rewolucyjnych. Nie potrafiła jednak stworzyć właściwego obrazu życia i dążeń biedniackiej i średniackiej wsi dwudziestolecia grupa pisarzy pochodzenia chłopskiego, związana silnie lub luźniej z ruchem ludowym, nie wykraczająca w widzeniu spraw politycznych wsi poza ideologiczne tendencje, szerzące się podówczas w środowiskach działaczy ludowych, zwłaszcza młodzieżowych przywódców „Wici". Agraryzm, kierunek, który pod pokrywką haseł antykapitalistycznych, usiłował wykopać przepaść między dążeniami dołów chłopskich a ruchem robotniczym szerzył zamęt ideologiczny wśród ludowców. W tych warunkach nacisk ideologiczny burżuazji, wpływ schematów literackich powieści mieszczańskich z łatwością sprowadzał na manowce pisarzy chłopskich. Nic więc dziwnego, że w utworach Piętaka z lat trzydziestych wieś żyje odrębnym, swoistym życiem, jako wyizolowana ze społeczeństwa grupa, nie mająca żadnych związków z resztą kraju. Można wręcz zaobserwować wyraźnie wrogi stosunek do miasta jako źródła zła, równie szkodliwego dla wsi, co i pański dwór. Piętak nie widzi zasadniczego podziału klasowego, nie widzi żadnego związku z proletariatem miejskim. Nienawiść do miasta zagradza Piętakowi drogę do zauważenia sojusznika na tym terenie. Burżuazja, złe ziarno epoki, to według niego drobnomieszczańscy filistrzy, skorrumpowani, bezideowi urzędnicy sanacyjnego reżimu choć także (i to trzeba autorowi zapisać jako plus — prawicowi przywódcy ruchu ludowego. Chłop Piętaka, niczym maszynoburca, nienawidzi narzędzia, którym posługuje się kapitalizm: warstwy urzędniczej. Miasto to dla chłopa z tomu Piętaka przede wszystkim sanacyjne urzędy i drobni kapitaliści. Przy tym wrogim stosunku awans społeczny wyobraża sobie Piętak jako odejście ze wsi do miasta, awans zresztą niebywale utrudniony. Stąd może pochodzi gorycz piętakowego „Korepetytora", szarpiącego się między nienawiścią do miasta a naturalnym zupełnie pragnieniem społecznego awansu.

Ten bohater Piętaka jest bohaterem klasycznym, powtarzającym się bardzo często w mieszczańskiej literaturze okresu schyłkowego, bohaterem, zdystansowanym w wolnej konkurencji kapitalistycznej i co za tym idzie obciążonym całym właściwym człowiekowi, pozostającemu w tej sytuacji społecznej, balastem ideologicznym. Tu dochodzimy do charakterystyki drugiego z ujemnych momentów twórczości Piętaka: umysłowość bohatera przynależy raczej do umysłowości klasy zstępującej, mimo pozorów buntu przeciw tej klasie. Olek Janus jest chłopcem słabym wewnętrznie, niewierzącym we własne siły, zupełnie nie przekonanym o możliwości zwycięstwa nad klasą znienawidzoną. Przytłacza go pesymizm, tak charakterystyczny dla klas zstępujących, zupełny brak określonej linii postępowania, doprowadzający go w końcu do kapitulacji.

Niejednokrotnie w pracach poświęconych przedwojennej twórczości Piętaka podkreślano moment jego wyobcowania ze środowiska wiejskiego. Piętak jest istotnie klasycznym „inteligentem pochodzenia chłopskiego", który uległ bardzo wyraźnie naciskowi ideologicznemu burżuazji w zakresie ujmowania problematyki wiejskiej.

Przejawia się to głównie w obrazie politycznego życia wsi dwudziestolecia. W opowiadaniach przedwojennych, zawartych w omawianym tomie, wieś obok odizolowania się od miasta nie przejawia zupełnie dążeń rewolucyjnych, nie dąży w celowy i świadomy sposób do celowych zmian na lepsze. Ludzie, którzy mogliby stać się nosicielami tych idei albo kapitulują bez walki przed panoszącym się powszechnie złem. Jak Olek Janus z opowiadania „Korepetytor", albo w ogóle nie zdają sobie sprawy, że jakikolwiek opór jest możliwy. (Adam Gurdak z opowiadania tytułowego), czy też wyrażają swój protest w sposób najzupełniej niewłaściwy, spaczony, jak Kaźmirz Dąbek z „Ślepych żywiołów". Wymowa tych faktów jest z punktu widzenia warstw posiadających bardzo poprawna. Postawa człowieka widzącego zło, a nie znającego jego zasadniczych, społecznych źrodeł, leży u podstaw błędów ówczesnej twórczości Piętaka. Stąd też pochodzi niewłaściwa interpretacja literacka, manierą naturalistyczna, dominująca w każdym opowiadaniu, zwłaszcza z lat trzydziestych.

W późniejszej twórczości Piętaka dokonywa się pewną zmiana na lepsze. Pierwsze zapowiedzi tej zmiany można zauważyć już w opowiadaniu z tego samego okresu co i „Korepetytor", w „Porachunkach". Bohater „Porachunków" umie już w jakiś sposób pokierować swoim losem, nie daje się związać, z walki z otoczeniem wychodzi zwycięsko. Ale człowiek ten, Józef Połanski, jest sam. W jego działalności nie czuje się zaplecza klasy, chociaż mówi się o klasie. Józef jest jedynie świadomą jednostką, wyizolowaną ze społeczeństwa wiejskiego. Manifestacja w mieście odbija się dalekim tylko echem, nie wiemy nawet, co to za manifestacja? W końcu Józef zostaje prezesem powiatowego związku „Wici". Cel swój osiąga, ale jako wiciarz z pewnością nadal będzie hołdował izolacjonizmowi wsi, będzie toczył walkę o interesy wsi oderwanej od reszty świata, od interesów całej klasy robotniczej.

Niektóre opowiadania z lat 1944 — 1945 są wyraźnym krokiem naprzód. Dwie prace z tego okresu wysuwają się na czoło całego zbiorku: „Pierwsza orka", opowiadanie dotyczące początków życia powojennego, zagospodarowania ziemi otrzymanej z reformy rolnej i „Strajk fornali", obrazek z życia przedwojennego. Obydwa opowiadania uniknęły zasadniczo braków, powtarzających się nagminnie w okresie poprzednim: pierwsze z opowiadań jasno określa klasową pozycję kułaka i biednego chłopa, drugie podkreśla łączność ruchu ludowego z międzynarodową sprawą proletariacką. W „Strajku fornali" powtórzył się jednak i jeden ze starych błędów: po pacyfikacji wsi jedynym człowiekiem przejętym w jakiś sposób sprawą walki jest mały Franek, dociekający prawdy z ciekawością dziecka. Przywódca strajku wydaje się być jedyną osobą świadomą wagi wydarzenia i pewną lepszego jutra. Reszta wsi stanowi masę zastygłą w biernej nienawiści.

Natomiast opowiadanie „Bitwa" jest zupełnym nieporozumieniem. O tak naturalistyczny, zgoła paszkwilancki obraz wsi trudno nawet w literaturze, stojącej otwarcie na pozycjach burżuazyjnych.

Niewłaściwe podejście Piętaka przejawia się nie tylko w doborze tematów i sposobie rozwiązywania poruszanych zagadnień. Spadek po burżuazyjnym pojmowaniu literatury zaciążył również nad stroną formalną jego twórczości. Nieco patriarchalne widzenie wsi, jej egzotyka — zwłaszcza to ostatnie — świadczą o patrzeniu na wieś z pozycji inteligenckich. Wieś i chłop nie są z innej ziemi, czują i wyrażają swoje myśli w ten sam sposób co i reszta społeczeństwa, pominąwszy, rzecz prosta, zagadnienia gwary. Tymczasem w opisach wsi u Piętaka natrafiamy czasami na ton litryczny i nastrojowy, na poetyzowanie wsi. Jakże nienaturalny jest mały chłopak wiejski, który złamał kosę bogacza pracując na jego polu, gdy przerażony perspektywą kilkudniowego odrobku za nią, upadający ze zmęczenia po całodziennej pracy, powtarza: „Koso, kosiczko, czemuś się złamała?" Trochę jak w upoetyzowanych partiach Kraszewskiego.

W wyniku otrzymaliśmy jeszcze jeden niezupełnie prawdziwy tom o wsi. Dawne opowiadania — interesujące niewątpliwie, jako dokument literacki epoki, nie uzyskały należytej przeciwwagi w pozycjach nowego, powojennego okresu twórczości pisarza, który podjął wysiłek zrewidowania ideologicznych założeń swej dotychczasowej pracy pisarskiej. Odbiło się to w poważny sposób na wartości ideologicznej i artystycznej tomu „Ostatni półkos".

Danuta Godlewska

*) Piętak Stanisław: „Ostatni półkos". Wydawnictwo Ludowe" Warszawa 1949.

W poprzednim numerze

W N-RZE 41 tygodnika „Wieś" z dnia 15.X.50 r.

L. Norkowski — Szkoły wyższe w pierwszym roku planu 6-letniego. *W. Ozga* — Szkolnictwo dla pracujących. *Z. Chyliński* — Zakłamana i prawdziwa Ameryka. *Pierre Courtade* — „Teoretyk" imperializmu amerykańskiego (II). *J. Marszałek, B. Gołębiowski, S. Skulski* — Głosy czytelników o epice. *A. Olcha, Z. Solarzowa* — Wspomnienia o Broniewskim. *J. Morton* — W Gminie. *J. A. Frasik* — Jeszcze łzy nie obeschły. *S. Rogowski* — Kampania — znaczy walka. *M. Wilk* — Więzień Nr 7047. *S. Skulski, S. Skrzydliński, J. Ziemba* — Dyskusja o kadrach (III). *R. Hładko* — Takich rodzin są miliony. *P. Chmura* — Błędy korespondentów. *W. Borkowski* — Polityczny teatr świetlicowy. *11 ilustracji 8 stron.*

ANDRZEJ WASILEWSKI

Wokół epiki (5)

DWAJ POECI WOROSZYLSCY

Poezję Woroszylskiego — czołowego poety młodego pokolenia — od pierwszych wystąpień cechuje silne napięcie uczuć rewolucyjnych, żarliwa wola służenia aktualnym sprawom walki klasy robotniczej, żywotnym sprawom Państwa Ludowego. Woroszylski — od pierwszych swoich wierszy — pragnie być poetą partyjnym, ostrym i niedwuznacznym politycznie zarówno w wierszach satyrycznych (tomik „Weekend mister Smisha"), jak i lirycznych (tomik „Śmierci nie ma").

Następne chronologicznie utwory — poematy: „Świerczewski", „Noc komunarda" i publikowany w prasie „Świt nad Nową Hutą" nie zmieniają tej zasadniczej drogi poetyckiej autora. Jeżeli jednak zestawić wiersze tomiku „Śmierci nie ma" z fragmentem któregoś z tych poematów — odmienność stylów poetyckich jest uderzająca. Nie są to oczywiście różnice spowodowane odmiennością gatunków literackich: tam — krótkie, zamknięte całości liryczne, tu — poemat epicki o szerokim rozmachu. Tomiki te wyznaczają drogę ewolucji artystycznej poety. Postaramy się udowodnić, że w początkach swoich droga ta poczynała od niedobrego spadku poetyckiego, od złych tradycji pewnych nurtów artystycznych, które w naszym dwudziestoleciu pragnęły uchodzić za słowo rewolucji. Wspaniałe wzory poezji Majakowskiego, jej dynamicznej formy, bogatej i ostrej matafaryki, jej natchnionej bojowości — splotły się w pierwszych wierszach Woroszylskiego z przejętymi z bez pośredniego zaplecza literackiego manierami stylowymi. W tomiku „Śmierci nie ma" ten nieszczęśliwy związek zniszczył życie wielu wierszom. Te, które ocalały, przyznają się do pokrewieństwa tylko z Majakowskim.

POD ZNAKIEM NIEPRZEZWYCIĘŻONYCH TRADYCJI

Jeżeli przypomnieć niektóre tomiki poetyckie pierwszego okresu dwudziestolecia — wiersze „futuroformalistów" — tych mieszczańskich radykałów z urojenia — to balast pewnych elementów ich poetyki dostrzeżemy w pierwszych wierszach Woroszylskiego.

Co charakteryzowało tę poetykę? Anarchizm składni, szokująca krzykliwość metafor, wulgarne drastyczności „morowych" zwrotów, nonszalancja odautorskich wstrętów. Miało to wyrażać „rewolucyjność" wierszy. Czym zaś było w istocie?

Produktem drobnomieszczańskiego anarchizmu, językiem poetyckim lumpenineligencji, która wulgaryzmem, buntownictwem formalnym, nonszalanckim kreowaniem swojego jednostkowego udziału na dominantę wszelkich wydarzeń rewolucyjnych — nadrabiała własną niemoc ideową, brak zrozumienia świata , niezdecydowanie polityczne. Wspólne łożysko literackie tych bardziej lub mniej formalistycznych, magicznych, mistycznych, bardziej lub mniej zmistyfikowanych „radykalnych" nurtów nazwać możemy ekspresjonizmem.

Oczywiście nie ma żadnego równania między tą dekadencką poezją a postawą ideową i artystyczną Woroszylskiego. Najgorsze, najbardziej obciążone elementami formalizmu i „morowości" jego wiersze (jest ich przecież niewiele: „Dnieprostroj", „Na odwrocie nekrologu Wincentego Pstrowskiego" i — wbrew całemu ludzkiemu ładunkowi „Rosa Lee") są przecież od niej najzupełniej różne jakościowo; świadczą co najwyżej o niedostatecznym opanowaniu warsztatu poetyckiego szczerze rewolucyjnego poety, mówią o uleganiu złym wzorom stylowym.

To trzeba koniecznie podkreślić, aby nie było nieporozumień: mówimy tylko o ciążącej zmorze manier stylistycznych.

Kiedy w wierszu „Rosa Lee" czytamy:

„Murzyn Wallace Lee, lat
piętnaście, kawaler,
Murzyn Sammie Lee, lat
trzynaście, kawaler,
za morderstwo z premedytacją
zostają skazani
na...
Życie jest piękne.
O, życie jest bardzo piękne " etc.

to w tej wykropkowanej sentencji wyroku dźwięczą nam formalistyczne sztuczki takiego np. Młodożeńca (z pierwszych tomików).

Lub gdy w tym samym wierszu poeta powtarza:

„przyrzekali robotnicy, że
Sammie Lee,
przyrzekali robotnicy, że
Wallace Lee,
przyrzekali robotnicy, że
Rosa Lee
na czerwonym sztandarze będą
żyli".

to możemy w tym widzieć gadulstwo i nieporadność poetycką. Ale ta nieporadność była kiedyś świadomą kokieterią (szokująca „prostota"): np. Czyżewski. Również pod tym względem znamienny jest „Dnieprostroj", zaczepiony już w recenzji J. Preger za bezsensowność metaforyki:

„Kiedy spajał turbiny
acetylenem zdań,
obecni, zamiast zdziwionych
bąbelków powietrza,
gładko łykali tomiska ekonomii
politycznej.
Czasem przerywał montaż.
Granatowa policja
Wołała Szczepka i Tońka.
W cholerycznie wesołym
filmie „Będzie lepiej" — nie
przyrzekali nic."

Czy w tej zadziornej metaforyce i w tym „cholerycznie" morowym języku nie słychać tonów B. Jasieńskiego, który z tych składników utworzył sobie kiedyś kanon rewolucyjności?

Gdy w wierszu „Na odwrocie nekrologu Wincentego Pstrowskiego" wszędobylski osobnik wtrąca się ze swą natrętną, „programową" nonszalancją:

„ale Pstrowskiego nie dobudzi —
czy można dobudzić zwłoki?
Można!
Przepraszam, niech się pani
odsunie,
to nie pani specjalność,
pani czyta tylko „Głos Anglii"
i nie wie, że...
Ale proszę posłuchać:..." etc.

to tak, jakbyśmy słuchali antyfilisterskiego Sterna (z pierwszych tomików), który swą nerwową, „rewolucyjną" obcesowością („jestem niewychowany!") raził straszliwie w... „dobry ton" poezji i konwenansu towarzyskiego.

Uwag tych *) i analogii nie czynimy dla samego autora. Ten okres jego twórczości uważać możemy za skończony. Wymienione poematy świadczą o otrząśnięciu się autora z tych fatalnych manier stylistycznych, ciążących dotkliwie na konsekwencji ideowej wierszy. Krytykę tę przeprowadzamy natomiast ze względu na żywotność i atrakcyjność tych manier u poetyckich debiutantów. Korespondencja każdego chyba z naszych czasopism literackich wykazuje szerzenie się tej stylistycznej zarazy wśród początkujących autorów.

NA LINII DOBRYCH TRADYCJI REWOLUCYJNEJ POEZJI

„W poemacie o „Nocy komunarda" — pisze we wstępie autor — chodzi nam nie tylko o postać Jarosława Dąbrowskiego — choć ważne i wzruszające są losy tego rewolucjonisty polskiego, poprzednika Waryńskich, Dzierżyńskich i Buczków. Chodzi o ów promień nadziei, o którym mówił Vermorel, a słuszniej — promień niezłomnego przekonania o zwycięstwie sprawy, promień, który jest osią historii walczącego obozu postępu".

Jest to motyw w twórczości Woroszylskiego nie nowy. Akcent tytułowy tomiku „Śmierci nie ma", główny akcent kompozycyjny poematu „Świerczewski" podkreślały tę zasadniczą myśl poetycką autora.

W swoich manierycznych wierszach konkretyzował ją jednak Woroszylski nieudolnie, często osiągając niezamierzony efekt koszmaru:

„Pstrowski toczy się czarny,
chropowaty, ciężki —
na wózkach, na wagonach,
okrętach..."
(„Na odwrocie nekrologu...")
„Bagatelka!
Sam znałem Greka —
wykończyli go trzykrotnie
króla Pawła żołnierze,
nawet duszy jego
klecha
dał paszport do piekła,
a on żyje! Po prostu: nie umie
nie żyć!"
(„Jeszcze o nieśmiertelności").

Zanotujmy: nonszalancja „własnego udziału" („sam znałem...") „morowość" języka („Bagatelka!" „Wykończyli go..."); w sumie — przeraźliwy zgrzyt w stosunku do tematyki wiersza.

Ale już w „Świerczewskim" umie poeta wcielić tę myśl w prostą i piękną formę, gdzie każde słowo odmierza szmat najwspanialszych doświadczeń rewolucyjnej klasy:

— Śmierć żołnierza,
Śmierć komunisty
nigdy nie bywa samotna.
Kochałem sprawy i ludzi,
zostają sprawy i ludzie,
są ze mną aż do końca,
dlatego nie trudno umierać.
Kto o wolność walczył, był ze
mną,
niosłem wolność niewolnym
ziemiom, —
gdzie się żyło, gdzie się
walczyło,
każda ta ziemia jest ze mną;"

W „Nocy komunarda" ten stale powracający motyw poetycki: historyczna łączność rewolucyjnych dążeń proletariatu, spadkobierstwo myśli i zapładniająca moc wzorów rewolucyjnego męstwa — uzyskuje szerokie tło historyczne. W wierszach poprzednich — jednostkowe życie komunisty świadczyło o historii klasy robotniczej, tu — cała jej historia przyzwana zostaje, aby świadczyć o treści jego życia.

W noc umierającego komunarda „mkną lata, wiatry, fronty" i historia ukazuje etapy przyszłych zwycięstw, w których niezmiennie żywym jest bohater Komuny. Etapy te — to prawidłowy rozwój historyczny: poetycko - konkretne syntezy kapitalistycznego XIX wieku, narastania sytuacji rewolucyjnej w Rosji, wzbierających sprzeczności imperializmu uzasadniają historyczne i poetyckie znaczenie życia i śmierci Dąbrowskiego. Szczególnie udaje się Woroszylskiemu poetycka konkretyzacja sytuacji przedrewolucyjnej Rosji, drzemiącej w „serdecznym ludzie" siły wyzwoleńczej, uosobionej w oswobodzicielce Dąbrowskiego — Nadieżdie.

Główna myśl poematu — ów „promień niezłomnego przekonania" przyświecający śmierci Dąbrowskiego — rozprowadzona wyczerpująco w materiale historycznym — jest nadto doskonale uwypuklona kompozycyjnie. Przewijający się refren:

„Wystrzeli brzask i wieki runą,
zgaśnie historia, ból ustanie."

będący zrazu usymbolizowaniem okoliczności i uczuć umierającego przed świtem Dąbrowskiego — w końcu poematu pojawia się w szerszym, uogólnionym znaczeniu:

„Wystrzeli brzask i wieki runą,
zgaśnie historia, ból ustanie.
Nad Wisłą, tak jak nad Komuną,
Grzmi hymn niezłomnej
rewolucji.
Wyklęty powstań ludu ziemi!"

Ta pomysłowa kompozycja poematu zespala — poprzez łączącą więź refrenu — śmierć komunarda ze zwycięstwem polskiej rewolucji. Tak forma poetycka dyskretnie ale przejmująco uwypukla ideę historyczną poematu.

Woroszylski doskonale podchwytuje możliwości zbliżeń, jakie daje poezji historia: w wojnach imperialistycznych „słychać tupot Wersalczyków", dziewiętnastowieczna Europa „wrze i kipi jak kocioł Watta", Nadieżda oswabadza Dąbrowskiego a jej wnuk — Warszawę w r. 1945, świadcząc o niezmiernym braterstwie rewolucyjnego ludu rosyjskiego i polskiego.

Bogactwo i różnorodność historycznych treści uprawniły autora do wykorzystania szerokiej skali środków formalnych: od doskonałego, ujmującego prostotą języka dialogu zrytmizowanego (rozdz. V) do nastrojowego, grającego i aliteracją i „pieśniową" rytmiką rozdz. VI, gdzie te sposoby formalne oddać mają „śpiewność" rosyjską, do onomatopeicznej metaforyki rozdz. III, nastrojowo oddającej przygniatającą atmosferę popowstaniowych lat „kraju nadwiślańskiego". Jedynie rozdz. IV „Zdrada" tonie w niedobrych tradycjach ekspresjonistycznego chaosu.

Najlepsze fragmenty (rozdz. XI) rytmiką, nasyceniem konkretnymi, historycznymi treściami, przejrzystą a niebanalną symboliką przypominają doskonałe wiersze Broniewskiego.

„Dwaj Woroszylscy" otrzymują podsumowanie: wiersze, które miały być wzorowane na dynamicznej, niosącej rewolucyjny ładunek, frazie Majakowskiego, były — (przeważnie! bo przecież są wśród nich i tak udane wiersze jak „O rówieśnikach krótko", „Poezja", „Pamięci kolegów") — wykrzywionym jej powtórzeniem, uwikłanym w balast ekspresjonistycznej tradycji. Dojrzałość poetycka Woroszylskiego, zdolność wyrażania rewolucyjnych treści w pięknej opanowanej, adekwatnej formie wiąże się z podjęciem szerokiej tematyki epickiej.

Andrzej Wasilewski

*) Jeszcze jedna uwaga, która musi na razie jak zresztą i pozostałe, pozostać krytyczną impresją: podjąłbym się wyprowadzić szereg analogii stylowych między „Balladą o byłym sołtysie Janie" a połączonym dziedzictwem „ludowych" wierszy Młodożeńca i „Słowa o Jakubie Szeli".

KAZIMIERZ URBAŃSKI

WALKA O KADRY

Na czym polega sens porawdzonej w Polsce Ludowej polityki rekrutacji na Wyższe Uczelnie? Przede wszystkim na szerokim oparciu się o młodzież robotniczą i chłopską, ponadto skutecznym likwidowaniu burżuazyjnych metod selekcjonowania i odsiewu młodzieży. Obserwowałem zdziwienie chłopca, który wbrew twierdzeniom jakiegoś wykształconego mieszczucha nie spotkał dziś — na swej drodze do Wyższej Uczelni — psychotechnicznej pracowni, która „nieomylnie" określa stopień inteligencji i przydatności zawodowej kandydata. Znane są dobrze burżuazyjne sposoby rzucania kłód pod nogi młodzieży robotniczo - chłopskiej, cyniczne stosowanie psychologicznych, fizjologicznych, technologicznych metod badania, w celu przekonania jej o niższości i małej inteligencji w porównaniu z posiadającymi cenzus majątkowy czy też „błękitnokrwistymi". Znane są dobrze przedwojenne poradnie z kolorowymi kółkami, magicznym abecadłem i całym arsenałem środków służących do wmówienia młodzieży ludowej jej intelektualnej „bezwartościowości".

Rewolucyjnie przekształcane, niejako od nowa budowane powojenne szkolnictwo wyższe chlubi się wspaniałymi osiągnięciami — umasowieniem i zmianą składu społecznego studentów. Przed wojną liczba chłopsko - robotniczej młodzieży nie przekraczała 10 proc. ogółu studentów. W roku 1949/50 urosła do 50 proc., w tym na pierwszym roku studiów do 56 proc. Przeszło 140 proc. wzrost liczby młodzieży akademickiej świadczy o zerwaniu z ekskluzywnym charakterem nauki kapitalistycznej.

W 1945 roku władza ludowa troskliwie zabiegała o to, by młodzież szkolna w momencie zwiększonego napływu znalazła odpowiednie pomieszczenia, pomoce naukowe i wykwalifikowaną kadrę nauczycielską. Zadanie to zostało spełnione już w tak poważnym stopniu, że w planie 6-letnim rysuje się jasno droga szkolnictwa podstawowego. W ostrej walce klasowej wykuwa się nowa szkoła średnia coraz bardziej wolna od odstraszających przykładów burżuazyjnego nauczania, drzwi której coraz szerzej stoją otworem dla młodzieży wiejskiej i robotniczej. Powstały warunki bezprzykładnego w Polsce rozwoju szkolnictwa wyższego.

Znamiennym objawem pierwszej fazy był żywiołowy napływ młodzieży, niedostateczne stosowanie klasowej selekcji przy przyjmowaniu kandydatów. Masowy napływ młodzieży robotniczo - chłopskiej upajał cyframi, wzruszał plastycznym obrazem likwidowania wielowiekowych krzywd, nie mógł jednak przesłonić równoczesnego napływu młodzieży obcej klasowo na Wyższe Uczelnie. Praktycznie toczyła się walka o miejsce na wyższej uczelni, jakkolwiek młodzieży robotniczo - chłopskiej dano w tej walce więcej szans. Polityka „otwartych drzwi" stawała się coraz bardziej sprzeczna z koniecznością tworzenia nowej, ludowej inteligencji. Stypendium państwowe nie mogło stać się łupem fabrykanckiego dziecka.

Zdajemy sobie sprawę, że realizowanie planu 6-letniego może nastąpić wyłącznie w warunkach wzmożonej walki klasowej, w warunkach precyzyjnego klasowego doboru kadr, to znaczy skutecznego eliminowania kapitalistycznego „narybku". Fakt, że np. zapotrzebowanie 6-lecia na specjalistów z technicznym wykształceniem wynosi około 53.000 osób, z tego Wyższe Uczelnie drogą normalnych studiów muszą wyszkolić ponad 45.000, tj. około 85 proc., tak jak cały urzekający plan 6-letni, zobowiązuje do wielkiego wysiłku i realizowania klasowych założeń rekrutacji.

*

Chciałbym przedstawić fragment przygotowań werbunkowych — pracę przedegzaminacyjnego kursu Z.A.M.P. na odcinku łódzkim. Mamy za sobą tegoroczną pracę gimnazjalnych komisji rekrutacyjnych, zakończyliśmy kursy przedegzaminacyjne, egzaminy wstępne, ustaliliśmy ostateczne listy słuchaczy pierwszych lat wszystkich Wyższych Uczelni.

380 osób przygotowywało się do studiów na Politechnice, 220 na Uniwersytecie, 350 na Akademii Medycznej, 110 na Wyższej Szkole Ekonomicznej i 90 w Państwowej Wyższej Szkole Pedagogicznej. 78 proc. ogółu słuchaczy stanowiła młodzież robotniczo - chłopska, dokładniej — 53 proc. stanowili pochodzący ze środowiska robotniczego, a w 24 proc. chłopskiego. Inteligencja stanowiła 21 proc., inne grupy 1 proc. Stosunkowo niski procent młodzieży chłopskiej ukształtował stosunek młodzieży miejscowej do zamiejscowej. Mianowicie z samej Łodzi uczestniczyło w kursie 43 proc., z terenu natomiast 53 proc. młodzieży. Kobiety stanowiły koło 40 proc. ogółu słuchaczy, przy czym znamiennym faktem jest nieproporcjonalny układ w poszczególnych grupach. Jeśli wśród 50 osób przygotowujących się do studiów farmaceutycznych był tylko 1 mężczyzna, to wśród 80 osobowej grupy mechanicznej i podobnie licznej grupy elektryków były 3 kobiety... Znaczne rozbieżności wieku tak często obserwowane w poprzednich latach stały się rzadkością. W tym roku ogromną większość stanowili dopiero co pełnoletni absolwenci szkół średnich.

Patrząc na tę młodzież dostrzegało się wyraźnie odcinające się od siebie grupy. Łączenie różnych środowisk i atmosfer uwypukliło istniejące różnice i braki. Henryk Woźniak — przodownik pracy społecznej z koluszkowskiego gimnazjum przekonał się na kursie, że ma znaczne braki w wiedzy. Stara się teraz wytężając siły nadrobić w Zespole Samopomocy w Nauce to wszystko, co stanowi złą pozostałość przedwojennej nędzy jego rodziców. Jeszcze się mści na Woźniaku okres przedwojennej i wojennej niedoli okres, w którym nie zawsze miał parciane spodnie by pójść do szkoły, w którym jego kontakt z kulturą sprowadzał się do niedzielnej możliwości wystawania przed kinem. Utrwalił mi się skupiony wyraz twarzy kiedy słuchał wykładów, rozwichrzona płowa czupryna i starannie podwinięte rękawy Z.M.P.-owskiej bluzy. Nylonowy pasek ptrzytrzymujący „Omegę" na ręku obok siedzącego Jacka świetnie harmonizował z jego samodziałową marynarką. Ale nie tym utrwalił mi się Jacek — znał on bardzo dobrze przedmiot. W okręgło formułowanych wypowiedziach nigdy nie znać było niepewności czy lęku. Przecież ojciec Jacka — lekarz troskliwie dbał o edukację swego jedynaka. W tej samej grupie znajdował się Józef Karasek ze Spółdzielni Produkcyjnej w Gałkówku — uparł się, koniecznie chce zostać inżynierem. Wszyscy trzej są w jednym wieku, mają zbliżone oceny matur, wszyscy są Z.M.P.-owcami, a jednak...

*

Istnieją trudności w klasowym przewartościowaniu napływającej młodzieży, są one tym większe, że już na wstępie popełniliśmy szereg błędów i niedociągnięć.

Fot. St. Dziubiński

Mechaniczna ocena pochodzenia klasowego i podstaw społecznych młodzieży, zaspakajanie się danymi o ilości posiadanej ziemi prowadziło jakże często do pomyłek. Wielokroć właściciel 3 hektarów ziemi jest praktycznie bogaczem, gdyż prowadzi intensywną gospodarkę ogrodniczą, dyktuje ceny buraków, kalafiorów na rynkach miasteczek. Równocześnie nawet 12 ha „łysego" piasku nie da osiadłej na nim licznej rodzinie warunków na bogacenie się. Gospodarstwa w pobliżu miasta łudzą niewielkim obszarem. Tymczasem na 2—3 ha gospodarzy właściciel inspektów, „badylarz", którego merkantylnie nastawiony syn mógł przejść przez komisję kwalifikacyjną jako biedniak, stawiał nas wobec trudności, które w wielu wypadkach utrudniały klasowe rozpoznanie kandydata. Najwyższy czas by każdy maturzysta był sprawdzony społecznie i obwarowany ocenami, by w każdej gminie powstało odpowiednie ciało opiniodawcze, by terenowe komitety rodzicielskie w oparciu o pomoc Partii i organizacji społecznych skutecznie współdziałały w wykonaniu klasowej polityki rekrutacji.

Pamiętać należy, że najróżnorodniejsze metody walki klasowej przejawiają się częstokroć w tendencji do przemycania na najbardziej fruwające odcinki elementu obcego klasowo, wyrosłego na gruncie pozostałości epoki kapitalistycznej.

Niski procent chłopskiej młodzieży na łódzkim kursie nie jest kwestią przypadku. Kierownictwo liczyło się ze znaczniejszym przypływem z terenu, czego dowodem jest niewykorzystanie 1.400.000 zł na kwatery dla zamiejscowych. Co stanowiło przyczynę tej „oszczędności"? Czyżby miało to oznaczać, że w terenie jest mniej młodzieży, bądź że nie chce korzystać z dobrodziejstwa kursu? Absolutnie nie. Przyczyna tkwi tutaj w słabej działalności terenowych komisji przyszkolnych, w nikłym interesowaniu się sprawą organizacji społecznych.

Każda luka, niedokładność czy przeoczenie jest konsekwetnie wykorzystywana i osłabia tempo szkolenia nowej, proletariackiej inteligencji.

I wreszcie słowo o dopływie kobiet. Wśród elektryków prymuską została koleżanka Kasińska, ale tylko 3 kobiety były w tej grupie. Iluż wspaniałych inżynierów mógłby otrzymać nasz przemysł, gdyby starannie przeprowadzono warbunek.

Narzekał kiedyś Woźniak, że w jego Z.S.N.-nie są słabiej przygotowani, że mimo starań nie zawsze mogą sami wszystko wyjaśnić. Wiem, że w Z.S.N.-nie Jacka byli sami mocni.

Tę nagminnie spotykaną wadliwość — łączenie mocnych z mocnymi i słabych ze słabymi może rozwiązać kierownictwo kursu, nie rozwiąże jednak trudności werbunkowych. Rozwiązać je muszą terenowe czynniki społeczne.

*

Zapełnienie niemal że wszystkich miejsc na wyższych uczelniach młodzieżą chłopską i robotniczą nie oznacza bynajmniej całkowitego przełamania wszystkich szkodliwych postaw i nawyków. Obserwacja kursu wykazała i tutaj istnienie ścierających się grup społecznych.

Można by wyróżnić trzy kręgi: świadomie z ufnością patrzących w przyszłość socjalistyczną, wahających się i obcych klasowo. Aczkolwiek pierwszy krąg stanowi znakomitą większość, mimo to sprawa nie przestaje być niebezpieczna. Najgroźniej zarysowały się postawy społeczne tej części młodzieży robotniczo - chłopskiej, która do dziś tkwi w błędnym pojmowaniu swojej funkcji w nowych warunkach społecznych. Jedna z dziewcząt wiejskich twierdziła na zebraniu, że „po wojnie nastały nasze czasy, czasy chłopów, robotników, że teraz my zajmiemy miejca niedostępne w ustroju kopitalistycznym, że *„teraz my będziemy się bogacić..."* W motywacji podań o przyjęcie na medycynę wszyscy kandydaci pisali o chęci służenia masom pracującym, ale autorka słów wygłoszonych na zebraniu z pewnością nie dopisała, że przy okazji tej służby pragnie także śladem dawnych wzorów osiągnąć uprzywilejowaną pozycję materialną. Reakcyjne postawy zdarzają się także mimo drobnorolności. Kułak obejmuje swym wpływem nie tylko swego „klienta" — biednego chłopa, jego macki oplatają częstokroć synów drobnorolnych.

Kurs pod tym względem był akcją „odratowywania", oderwania młodych chłopców od wroga klasowego. Ta najtragiczniejsza omyłka — wzorowanie się na drobnomieszczaństwie musi być śpiesznie rozbita. Tak pojęty praktycyzm to nic innego właśnie jak wiara w dorobek typu kapitalistycznego, wiara w drobnomieszczańskie recepty na najszybsze bogacenie się. Ta postawa musi być w pełni zastąpionona świadomością przydat-

(dokończenie na str. 7)

8 października 1910 roku zmarła we Lwowie Maria Konopnicka — pisarka ludowa. Ludowa — w najbardziej nowym i nowoczesnym znaczeniu tego słowa. Wiedziona słuszną intuicją klasową sięgnęła i po tworzywo realistyczne swoich dzieł i po formę — do ludu — interesując się życiem „wydziedziczonych" w ustroju kapitalistycznym — fornali, wyrobników wiejskich i miejskich, robotników fabrycznych. Jej „obrazki", nowele i piosenki w najbardziej twórczym okresie życia — noszące wyraźne cechy ideologii antykapitalistycznej — ludowe w formie — posiadają zdolność powrotu „do ludu", stawania się jego wtórną własnością. W 40-lecie śmierci Marii Konopnickiej przypominając drukowany w nr 35 „Wsi" szkic o jej twórczości — zamieszczamy fragmenty listów poetki do Orzeszkowej, zawierające pewne rysy charakterystyczne jej światopoglądu i drogi życiowej — tej w najlepszym sensie emancypantki pozytywistycznej — oraz wybór poezji. Minione 40-lecie przysypało je pyłem zapomnienia, ale kto wie, czy nie warto dziś sięgnąć do twórczości Konopnickiej jako do jednego z ogniw niezbyt przecież bogatej tradycji polskiej poezji realistycznej i społecznej.

URYWEK

Nie wam, słowiki, wtórzyć przychodzę,
Nie z tobą, różo, kwitnąć przy drodze,
Którą przemija smutnych tysiące,
Niesionych burzą od wieku...

Nie z tobą w blaskach budzić się, słońce,
Co świecisz równie cicho i jasno,
Czy duchy płoną — czy w walce gasną...
Lecz z tobą płakać — człowieku!

CAPRI

Capri? Widziałam. Świat tam wykuty ze skały.
Brzeg dziki, poszarpany, samotny i pusty.
Pól nagi, skrawym szmatem przewiązany chusty,
Rybak z portu Careny ogień pali mały.

Trzeszczą kolczaste suchych aloesów chrusty,
Gruby liść żerem tleje, jak papyrus biały,
Na którym dawne wieki ze wstrętem spisały
Tyberiuszowej krwawy pamiętnik rozpusty.

Siądź w łodzi, przy ognisku, na sieci tych pęku,
Nad ciszą modrej toni zniż czoło na ręku
I słuchaj, co ci prawi rybak drżący, stary...

Tyberiusz?... Augustus?... Nie, on o nich nie wie!
Lecz patrząc mrocznem okiem w gasnące zarzewie,
Głód i nędzę swą skarży... To jego cezary!

WOLNY NAJMITA

Wązką ścieżyną, co wije się wstęgą
Między półkami jęczmienia i żyta,
Szedł blady, nędzną odziany siermięgą,
Wolny najmita.

I nigdy wyraz nie był dalszym treści,
Jak w zestawieniu takiem urągliwem!
Nigdy nie było tak głuchej boleści
W jestestwie żywem!

Rok ten był ciężki: ulewa smagała
Srebrnym swym biczem wiosenne zasiewy
I ziemia we łzach zaledwie wydała
Słomę a plewy.

Z chaty, za którą zaległy podatki,
Wygnany nędzarz nie żegnał nikogo...
Tylko garść ziemi zawiązał do szmatki
I poszedł drogą.

W powietrzu ciche zawisły błękity,
Echo fujarki z pod lasu wschód wita...
Stanął i otarł łze połą swej świty,
Wolny najmita.

Wolny, bo z więzów, jakimi go przykuł
Rodzinny zagon, gdzie pot ronił krwawy.
Już go rozwiązał bezduszny artykuł
Twardej ustawy...

Wolny, bo nie miał dać już dzisiaj komu
Świeżego siana pokosu u żłoba;
Wolny, bo rzucić mógł dach swego domu,
Gdy się podoba...

Wolny, bo nic mu nie ciąży na świecie —
Kosa ta chyba, co zwisła z ramienia,
I nędzy łachman sukmany na grzbiecie
I ból istnienia...

Wolny, bo jego ostatni sierota,
Co z głodu opuchł na wiosnę, nie żyje...
Pies nawet stary pozostał u płota
I z cicha wyje...

Wolny! — Wszak może iść, albo spoczywać,
Albo kląć z zgrzytem tłumionej rozpaczy,
Może oszaleć i płakać i śpiewać —
Bóg mu przebaczy...

Może zastygnąć, jak szrony, od chłodu,
Bić głową w ziemię, jak czynią szaleni..
Od wschodu słońca, do słońca zachodu
Nic się nie zmieni.

Ubogi zagon u nędznej twej chatki
I mokrą łączkę i mszary i wrzosy
Obsadzi urząd... podatki! podatki!
Ty idź do kosy!

Idź, idź! Opłatę do kasy wnieść trzeba,
Choć jedno ziarno wydadzą trzy kłosy
I choć nie zaznasz przez rok cały chleba...
Idź, idź do kosy!

Czegóż on stoi? Wszak wolny, jak ptacy?
Chce — niechaj żyje, a chce — niech umiera!
Czy się utopi, czy chwyci się pracy,
Nikt się nie spiera...

I choćby garścią rwał włosy na głowie,
Nikt się, co robi, jak żyje, nie spyta...
Choćby padł trupem, nikt słówka nie powie...
Wolny najmita!

O ZIEMIO!

Gdzie jest ten grzmot wiosenny i gdzie jest ta burza,
Co wstrząśnie twe doliny i twoje podgórza,
O ziemio!

Gdzie są te błyskawice, co rozświecą ciemnie
Dni przyszłych, których brzasku świat czeka daremnie,
O ziemio!

Gdzie nawałność, co przejdzie po tobie wichrami
I zetrze z ciebie krzywdy i krew, co cię plami,
O ziemio!

Gdzie piorun, który zniszczy bezprawie twe stare
I na ołtarzach ducha zapali ofiarę,
O ziemio!

Gdzie oczy, co oglądać będą twoje rano,
Gdy wyjdziesz w tęczach światła, łez dżdżami spłukaną,
O ziemio!

I gdzie ta, która pieśnią wybuchnie swobody,
Lutnia, milcząca dzisiaj pomiędzy narody,
O ziemio!

Maria Konopnicka

PO 40-TU

Listy M. Konopnickiej

Listy Marii Konopnickiej do Elizy Orzeszkowej z r. 1879 pochodzą z okresu, w którym poetka stawiała pierwsze kroki w karierze literackiej, a swą dawną koleżankę z pensji traktowała z szacunkiem nie tylko jako już głośną sławę literacką, ale jako mentorkę, mogącą doświadczeniem swym ułatwić jej trudną drogę samokształcenia i szukania własnej drogi twórczej.

Początki biografii literackiej Orzeszkowej i Konopnickiej są ogromnie podobne, egzemplifikują typowe zjawisko społeczne — kształcenie się inteligencji mieszczańskiej w wyniku procesów degradacji dworu ziemiańskiego.

Cenniejsze elementy spośród „wysadzonych z siodła" rozbitków szlachetczyzny w zetknięciu z zadaniami ideologicznymi jakie stawiał kapitalistyczny przełom w życiu zacofanego raju feudałów podejmowały ostrą krytykę swej klasy macierzystej, stawały w pierwszym szeregu chorążych burżuazyjnego postępu. Postęp ten w początkach lat siedemdziesiątych przeżywał krótkotrwały okres swego rozkwitu w walce pozytywistów warszawskich pod sztandarami racjonalizmu, kultu nauki, swobody myśli, walki z klerykalizmem i obskurantyzmem ziemiańskiej konserwy.

Dwie najwybitniejsze pisarki polskie tego czasu — Orzeszkowa i Konopnicka, które przeżyły w podobny sposób znudzenia i obrzydzenia dla ciasnej kołtuńskiej atmosfery ziemiańskiego salonu i w chaotycznej, lecz gorliwej pracy samokształceniowej, wchłaniały tradycje polskiej i europejskiej myśli racjonalistycznej i materialistycznej, wzięły poważny udział w tej walce. Orzeszkowa torowała na wielu odcinkach drogę bojowemu pozytywizmowi, Konopnicka wystąpiła w okresie, w którym poczęły się ujawniać odznaki załamywania się postępowości mieszczańskiej.

Niemniej wystąpiła ostro w obronie swobody badań naukowych i wyznawania materialistycznego światopoglądu, ostro potępiła obskurantyzm kościoła, fanatyzm religijny hamujący i prześladujący swobodę myśli. Trzy fragmenty dramatyczne pt. „Hypatia", „Wesaliusz" i „Galileusz" — „historia męczeństw poniesionych za wolność myśli i sumienia" — jak pisze Orzeszkowa wywołały zachwyt w obozie postępowym, ale też i wiele deliberacji w związku z kwestią ich wydania. Prasa konserwatywna stanowczo odmówiła druku. Orzeszkowa, która w tym czasie podjęła pracę nad wydaniem w świeżo otworzonej księgarni serii książek postępowych i narażona była od początku na ostre ataki kół klerykalnych, znalazła się w kłopocie.

„Są to prawdziwe arcydzieła poezji, ale też zarazem i — herezji — pisała do Jeża. — Czy mam nabyć je i do serii I nakładu włączyć albo nie? Pytanie to stawiam ze względów następujących: Rzecz piękną i postępową wydać, skoro mi w ręce wpadła uważam sobie za powinność, z drugiej strony przecież jaskrawa niereligijność rzeczy tej może w opinii publicznej zachwiać całym przedsięwzięciem moim. Postępowych zjednać sobie, chwiejnych do zastanowienia się skłonić, lecz zachowawców utracę na wieki wieków i sprawę na pociski narażę. Co czynić, zuchwałą być czy ostrożną? Manifestować się pawnie i od razu, czy dyplomatyzować nieco?"

Jeż namawiał do rozwagi, proponował do przygotowania gruntu przez postępowych pisarzy. Napisał też do „Nowin" wzmiankę zapowiadającą druk chwalonych „Fragmentów", za którą tak dziękowała Orzeszkowej Konopnicka w liście.

Mimo tych przygotowań „Fragmenty" nie uniknęły ostrej napaści ze strony klerykalnej, przypisywanej Sienkiewiczowi. Wytoczono stereotypowy rejestr oskarżeń i kalumnii wstecznictwa, oraz obwiniania obu zasłużonych pisarek o tendencje rusyfikatorskie. Cały obóz postępowy stanął wtedy w obronie spotwarzonej idei. Świętochowski zgryźliwie wskazywał, że nawet reakcyjne carskie dzienniki dystansowane są przez warszawską prasę klerykalno - konserwatywną w zakresie ataków na swobodę myśli — „dostojni panowie, wstrzymajcie miecz swojej pomsty nad nieszczęśliwą ofiarą, ażeby nawet „Dniewnik Warszawskij" nie urągał tabunnomu swojstwu polskiego myślenia i nie mówił, że „ani jedna literatura w świecie nie objawia takiej nietolerancji dla samodzielności cudzych przekonań, jak warszawska".

Taka burza rozpętała się w prasie warszawskiej wokół wczesnego utworu Konopnickiej.

Dalszy rozwój ideologiczny pisarki szedł niejednokrotnie zygzakami. Utraciła też wiele ze swej pierwotnej bezkompromisowości, mimo wielkich zasług realistki demaskującej w nowelach i poezjach nadużycia ustroju i ucisk człowieka ulegała niejednokrotnie naciskowi opinii burżuazyjnych. A jednak nigdy nie zaparła się wiary w konieczność zniszczenia na ziemi krzywdy człowieka i fanatyzmu, hamującego postęp myśli ludzkiej. Dlatego też jedyna może wśród pozytywistów — mogła zrozumieć historyczne znaczenie rewolucji w 1905 roku, odczuć w pełni konieczność „gromu... co zetrze jesienne drzewo ludów trzęsące się w wietrze..." zrozumieć bezsens i daremność wszelkich wysiłków utrzymania „starej tamy". *M. Ż.*

*

Warszawa, dn. 2.2.(18)79 r.

Czy Ty pamiętasz, Elizo, najmłodszą z koleżanek Twoich w ostatnim roku pobytu u sakramentek? Nie, nieprawdaż? I nie dziw: nie odznaczała się ona niczym, chyba pustotą swoją. Otóż ta mała pensjonarka jest dziś kobietą, która przed chwilą odebrała Twój list dobry, Twój list serdeczny i cała jeszcze drżąca wzruszeniem najgłębszem, wyciąga do Ciebie obie dłonie dziękując za słowa zachęty. Słowa te dały mi chwilę prawdziwego szczęścio w poczuciu wspólności celów i dążeń z takimi, jak Twój, duchami, wspólności, która najsłabsze nawet usiłowania uzacnia i pewną im wagę nadaje.

Chciałabym napisać Ci coś o sobie, związać niejako przeszłość z chwilą obecną. Jak wiesz może, byłam sierotą; wyszłam za mąż bardzo wcześnie — i wpierw na mnie spadły obowiązki życia, nim zdołałam z praw jego korzystać. Mieszkałam ciągle na wsi, byłam zawsze samotną, samotność też była mistrzem moim. Nauczyłam się trochę myśleć — i wystarczać sobie.

Otóż i wszystko. Od czasu jak mieszkam w Warszawie, przychodzą na mnie chwile głębokiego zniechęcenia; brak mi szerszego oddechu, swobody, przyrody.

Wstecz i naprzód widzę szereg nędz społecznych, jakąś ospałość z jednej, chybione ruchy z drugiej strony...

*

Warszawa, d. 2.4.1879 r.

W ostatnim liście Twoim Elizo, rzuciłaś mi kilka pytań, które opóźniły trochę mój odpis. — Pytania są czasem jakby sondą zapuszczoną w samo serce: sprawiają ból. A jednak rzecz to niezmiernie prosta zapytać kogoś: „Czy masz rodzinę? Czy jesteś szczęśliwą?" I człowiek, który przez długie lata przed tym pytaniem od własnych uciekał myśli, spotkać się z niem może na ulicy, w salonie, w ledwo zawiązującym się stosunku.

Czy mam rodzinę? Tak, mam męża, który jest znacznie starszy ode mnie i mieszka na wsi, mam dzieci (Boże! jaką gromadę!) które tu przy mnie uczą się w Warszawie. Otóż mimo to wszystko zdaje mi się często, że nie mam rodziny. I śni mi się jakiś domek biały, gdzie dwoje ludzi dzieli się myślą, uczuciem — i bodaj czarnym chlebem niezależnej pracy. Tęsknię do takiego życia.

Czy jestem szczęśliwą? Powiem ci, długo dosyć zdawło mi się, że tak. „Zdawało się"! Jakże łudzącem jest to małe słówko! „Zdaje się" nic ci nie brak: wstajesz, gdy ci się podoba, pijesz kawę z mniej więcej dobrą śmietanką, dowiadujesz się, że w oborze przybyło graniate cielę — a w kurniku kurczę czubate, w południe masz na obiedzie proboszcza lub jakiego zamaszystego sąsiada, wieczorem czytasz gazetę, w niedzielę podziwiasz jaskrawe stroje sąsiadek — i jesteś zadowoloną z życia, z ludzi, z siebie nawet, zupełnie jak na przyzwoitą osobę przystoi. Aż naraz — przychodzi jakiś wieczór gwiaździsty, jakaś noc bezsenna, która ci w piersi rozbudza tęsknotę i nieznane pragnienia i pytasz się: „Co jest szczęście?" A potem pytasz: „Jest-żem szczęśliwą?" I nagle — robisz tak nadzwyczajne odkrycie jak Kolumb w przebłysku światła spostrzegasz ląd nowy, świat lepszy, wyższy. I czujesz po niespokojnych rzutach myśli, że nie jest jeszcze zupełnem szczęściem mieć męża, który uważa żonę za swoje najstarsze dziecko, głośno całuje i głośno krzyczy, poluje, jeździ do miasteczka i o sporach granicznych rogzprawia. Spostrzegasz, nieszczęsna, że nie wystarcza ci graniate cielę, dorodne główki kapusty, parę modnych fioków i rozmowa o niczym. Spostrzegesz, że byt twój jest bytem zamkniętego w klatce ptaka, który swoją drobną główkę, pełną motywów leśnych pieśni, rozbija o szczeble więzienia. Tęsknisz, pragniesz, płoniesz... Tem gorzej dla ciebie: legumina opadnie,

CZESŁAW SCHABOWSKI

LUDZIE PIERW

Pierwszy miesiąc akcji wyjazdowej w teren: gdzie niegdzie płaty śniegu zaścielają szro-brudną ziemię; przede mną szmat pola; dalej — szereg domów Siedlęcina, za nimi marcowo - monotonne stoki wzgórz.

To tylko z daleka zdawało się, że będę brodził po błocie: do wsi dostaję się nawet nie zabłocony. We wsi pytam o dalszą drogę do PGR. Za parę minut staję przed jakimiś długimi, pogorzelczymi murami: spalona, olbrzymia stodoła i, widać po murach wewnętrznych, że był tutaj i spichlerz. Równomiernie do tych murów, po drugiej stronie podwórza wznoszą się takich rozmiarów stajnie: schludnie, porządnie utrzymane.

Na lewo, w dali podwórza brama wjazdowa i obok duży dom, jakiś warsztat i kuźnia; na prawo masywny gmach zarządu PGR na tle szerokiej, malowniczej i romantycznie wyglądającej baszty. Jest to zabytkowa wieża z XIII w.

Cały ten kompleks zabudowań obmywa półkolista fosa, pozostałość obronnego systemu wieży: fosa ta jest jakby przydłużeniem wyżej położonych stawów o dzikim wyglądzie: gospodarstwo rybne? W marnym stanie, bo tuż za muram pogorzeliska widziałem cuchnące, pełne żelastwa, bagniste, wysychające dno jednego z tych stawów, wskazujące nie na zarybienie, a raczej na zaszmelcowanie tych wód.

W kancelarii zostaję nad papierami 3 ludzi: jeden z nich mały, niepozorny, szczupły coś tłumaczy dwu innym. Gdy wszedłem, nie od razu przerwał swoje wywody:

— ...musicie ich kierowniku zaraz obejrzeć... wychowanie rasowych buhai to rzecz kosztowna, a oni przysyłają nam braki! Nie dopuszczę, żeby mi jakieś suchodupki - cieloki zaśmiecały wychowalnię! Dostaliście do nich rodowody? Nie!

— Wiele sztuk mamy bez rodowodów i dobre — przerywa jeden z trójki.

Widząc, że pragnę się przedstawić, przerwano.

— Mieliście towarzysze telefon z Komitetu Powiatowego? Kierują mnie do was w sprawie...

— A... towarzysz z ministerstwa... siadajcie.

Wszyscy trzej partyjni: Andrzej Pelc, były stelmach, obecnie kierownik gospodarstwa, o czym poinformowano mię jeszcze w KP; drugi tutaj to buchalter Alfred Bartela, syn górnika ze Śląska, oraz Witeska Jan, szwajcar wychowalni buhai, repatriant zza Buga.

Kierownik Pelc, wysoki, szczupły brunet lat około 46, dziwi się ogromnie, po co „redaktor" przyjechał do Siedlęcina i z miejsca charakteryzuje gospodarstwo jako teren wcale nie wzorowy, nie nadający się jako temat nawet do gminnej ściennej gazety, a co dopiero do jakiejś warszawskiej.

Wkrótce kierownik i szwajcar muszą wyjść do swych zajęć i pozostaję sam na sam z buchalterem. Ten udziela mi potrzebnych informacji. Gospodarstwo posiada 220 ha ziemi i jest nastawione na wychów rasowych buhai zarodowych: trzymiesięczne sztuki dostarcza dyrekcja zespołu. Tutaj byczki rosną aż do „pełnoletności", po czym sprzedaje się je do innych majątków, cierpiących na brak takich „baszów".

Wychowalnia znajduje się na drugim siedlęcińskim gospodarstwie, odległym stąd o kilka minut drogi. Dowiaduję się, że i tam spłonęła stodoła, nieco mniejsza,

rys. St. Gierowski

ale pełna zbiorów: stąd siedlęcińskie PGR stoi wobec poważnych trudności. W r. 49 jesienią spaliło się 700 kwintali ziarna. Pożar powstał jakoby z krótkiego spięcia, na drugim gospodarstwie z przyczyn niewiadomych.

Bartela ma lat 22 i poważne doświadczenie życiowe: jako trzynastoletni podrostek w czasie wojny został przez hitlerowców wywieziony do Niemiec do bauera. Po odzyskaniu wolności wraca do kraju i, dzięki otwarciu szkół, oraz możliwości bezpłatnego korzystania z nauki, syn górnika w paru latach kończy liceum rolnicze, a po maturze obejmuje posadę w Siedlęcinie. Jest rozgoryczony, ponieważ majątek jest zaniedbany na skutek skandalicznej gospodarki jednego z poprzedników Pelca, Ajnhorna... Był to człowiek „od robienia rozkładowej atmosfery w gospodarstwie". Po nim objął Siedlęcin fornal Szejna. Ajnhorn odszedł ale widząc jak gosodarstwo podnosi się w oczach, nie mogąc strawić, że zwykły fornal lepiej gospodaruje, jak on, przedwojenny ziemianin — tak pokierował sprawą, że Szejnę przeniesiono na inne gospodarstwo. Siedlęcin objął Pelc. Szejna z terenu tamtego gospodarstwa poszedł na kurs administratorów do Sobieszowa, po kursie chwilowo spełnia funkcję zootechnika przy zespole. Chodzą jednak słuchy, że ma wrócić do Siedlęcina, bo Pelc uparł się odejść, w ogóle daleko jeszcze do tego, aby było tak, iżby miał ktoś tutaj znaleźć coś wzorowego do opisania...

...albo z tymi byczkami — ciągnie Bartela: — jedne mają rodowody, drugie tylko kolczyki... kto i po co przysyła nam nierasowe sztuki na półtoraroczny wychówek, akcję kosztowną, gdyż inaczej chowa się byczka na wołu, inaczej na bydlę rzeźne, inaczej na takiego — baszę... Ot, co niezdatne na zarodowca, lepiej od razu skierować na rzeź lub na wołu... I obora mleczna nie w porządku... aczkolwiek to na użytek własny gospodarstwa, na deputaty mleczne, ale krowy — pożal się Boże... idźcie towarzyszu do stajni i zobaczcie tablicę udojów: strach, aby 10 krów tyle mleka dawało... Dalej, to stawy: mamy tu zapisane 1 ha wód dzikich, ale czy to ma być dzikie, czy nie powinno się tego zarybić? Skąd, jeżeli brak ludzi nawet do zasiewów... Przy tym przyjechał sobie tutaj jakiś leśniczy i, myśląc, że nałowi w stawach Bóg wie jakich karpi spuścił nieprawidłowo wodę, popsuł groble. Dyrekcja zalega z wypłatami i ordynarią, ale na szczęście mamy wkrótce dostać zaległości i, najważniejsze — od kwietnia pracujemy według nowej umowy zbiorowej: wszycy przechodzą na wynagrodzenie gotówkowe, wszycy, jak w przemyśle będziemy otrzymywać dodatki rodzinne.

Jednym słowem, po osobistym rozejrzeniu się w sytuacji Siedlęcina, po dłuższej rozmowie z Pelcem, od którego biła serdeczna troska, a jednak i wiara w pokonanie trudności — wydawało mi się, że nie mam tu nic do roboty. Muszę jechać tam, dokąd mam skierowanie z Centralnego Zarządu PGR. Widocznie oni wytypowali jakieś wzorcowe gospodarstwo, z którego całymi garściami można czerpać tematykę: osiągnięcia, współzawodnictwo, przodowników pracy, typy, tło, wszystko, a mnie się zachciało łapać pierwsze lepsze z brzegu, jakie było pod nosem.

Czy nie lepiej pojechać tam, gdzie wszytko będzie szło jak w zegarku: współzawodnictwo pracy, osiągnięcia w produkcji. W mojej sytuacji pisarkiej, raczej muszę zdobyć tworzywo jak najszybciej, zatem nie tutaj... Bo Siedlęcin, to cóż? Trzebaby tworzyć dzień po dniu i układać sześciolatkę, kartkę po kartce, rozdział po rodziale...

Droga długa: trzeba stąd wiać.

Pelc, żegnając się ze mną, zapytał:

— Ilu was jest w terenie?

— Około 70...

— I wyobraźcie sobie towarzyszu: 70 placówek otrzymuje duchowych opiekunów, ludzi z talentem nie tylko pisarskim, ale na pewno o wielu innych zdolnościach. Możecie podciągnąć tych, co zostali w tyle, możecie być umocnieniem dla tych, co twardo stoją na nogach... Nie musicie siedzieć ciągle u nas... przyjeżdżcie bodaj na dwa dni w tygodniu, ale stale... a na tych 70 placówkach na pewno przyśpieszycie tempo sześciolatki... my o takich pisarzach marzymy: pisarz, przyjaciel robotnika! Już sama świadomość, że jest ktoś z nami, który może kiedyś w swej książce pochwalić za osiągnięcia, lub postawić pod pręgierz. Ho, ho, wiara liczyłaby się z tym ogromnie!

Jeszcze chwilkę rozmawiam i dowiaduję się, dlaczego Pelc odchodzi. Nowy konflikt — bez stelmacha w PGR co raz gorzej. Nie ma komu naprawiać sprzętu, wozów. Pelc już walczył o to, żeby zdobyć takiego fachowca dla Siedlęcina, ale bez skutku, wobec czego sam się degraduje, nie z żalem, bo na jego miejsce przychodzi dzielny człowiek — Szejna.

Pelc żegna się ze mną z nieukrywanym żalem, ale w oczach jego nie gasną iskierki nadziei...

Do dworca szedłem przez wieś. „Wrócić, czy jechać dalej? Diabli nadali z takim PGR... mam skierowanie do jakiegoś porządnego obiektu, a mnie się zachciało ten Siedlęcin obejrzeć... nie mogło i tu być jak należy... jeszcze te stodoły."

„Dlaczego jednak te stodoły spłonęły, dlaczego akurat pegerowskie? Dlaczego wieś obojętna wobec tej sprawy? Czy komuś nie zależy na tym, aby w PGR działo się jak najgorzej? dlaczego ktoś popsuł groble przy stawach? dlaczego ktoś przysyła nierasowe byczki? dlaczego Ajnhorn był specjalistą od atmosfery rozkładu?"

Przechodzę obok masywnej stodoły, na której na wrótniach są wymalowane jakieś napisy: *Bogacze wiejscy nie sprzedają zboża Polsce Ludowej*, i pod tym 9 rzędów nazwisk

LATACH

do E. Orzeszkowej

Maria Konopnicka

suknie wyjdą z mody, co gorsza, zyskasz nazwę dziwaczki w sąsiedztwie. Zginiesz, jeśli całą energią świeżo zbudzonej duszy nie ukochasz jakiejś idei, większej o całe niebo od trosk twoich powszednich, jeśli sobie nie postawisz w myśli jakiegoś wysokiego celu, zginiesz, jeśli nie nauczysz się milczeć, przebaczać, obcować z przyrodą i szukać choćby tych drobnych okruchów wiedzy, jakie są przystępne samotnej wieśniaczce.

*

Warszawa, 3.5.1979.

Jakie Ty Elizo książki czytujesz — i jaką mnie radzisz obrać drogę w tej mierze? Dotychczas zajmowały mnie najgoręcej dzieła treści społecznej.

Zaczęło się to tak. Poszedłszy za mąż zwiedzałam wszystkie kątki mojego nowego państwa; otóż zdarzyło się, że na strychu znalazłam mnóstwo książek, które, od niepamiętnych czasów tam wygnane, służyły już to jako nogi przeróżnym faskom i skrzyniom kalckim, już to jako pastwa myszom, już wreszcie jako zapas bibuły dwom może pokoleniom gospodyń domu. Pomiędzy porozrywanymi egzemplarzami, których, doprawdy, płakać mi się chciało, znalazłam szkice Montaigne'a. Była to pierwsza książka burząca jak taran wiele moich dziecinnych jeszcze wyobrażeń i złudzeń. Zaczęłam się zastanawiać. — „Jakto — zapytasz — po raz pierwszy po pójściu za mąż dopiero?" Nie dziw się, Elizo, ja wtenczas nosiłam jeszcze spódniczki z zakładkami: rosłam. Otóż z Montaignem uciekałam na dalekie spacery, ale jakkolwiek był moim towarzyszem, nie był przyjacielem. Pozwalałam mu wprawdzie szeptać sobie do ucha różne, różne rzeczy, od których biło mi serce, ale nie kochałam go wcale. Chowałam go z dala od mego poczciwego, ufnego Kremera, poiłam się nim w cichości otwierając szeroko zdziwione oczy na cały ten obcy dotąd świat pytań i nie zaspokojonych pragnień, który się nagle otworzył przede mną. W poszukiwaniu odpowiedzi na te pytania przerzuciłam całe stosy książek różnej treści — i nie zaspokoiłam się wcale, aż kiedyś życzliwa ręka podała mi Supińskiego. Odtąd zaczęłam się uczyć, myśl moja znalazła jakby właściwe ujście dla siebie. Z rozmysłem już czytałam St. Milla, Cheveliera, Roschera, Buckle'a, Taina, Ribota, Drapera i innych szukając wszędzie plusów życia, jego zawiązków, praw jego rozwoju i wysokich celów udoskonalenie. Teraz czytam Schlossera.

*

Warszawa, 2.8.1879.

Listy Twoje, droga Elizo, dodały mi odwagi: pod wpływem ich zabrałam się do pracy szerszych rozmiarów i wykończyłam ją wczoraj właśnie. Są to trzy sceny z przeszłości — a przedmiotem ich jest ta nieskończenie smutna walka, jaką wolne umysły i duchy toczyły po wszystkie wieki z potęgą tradycji i powagi kościoła. Pierwsza z nich ma tytuł Vesalius i maluje chwile z życia tego anatoma, skazanego przez Inkwizycję na wieczne wygnanie. Druga obejmuje odprzysiężenia Galileusza. Trzecia Hypatia.

Wybrałam dwóch pierwszych pionierów wolnego badania w dziedzinie nauk; bez wątpienia barwniejszy obraz można by wysnuć z dramatycznych dziejów sekciarzy, ale mniemałam, że oni też tylko uosabiają cząstkę prawdy, tymczasem gdy oczywistość twierdzeń naukowych, dziś każdemu już znanych, dodaje siły bezwzględnej niejako postaci takiego Galileusza na przykład.

Kiedy skończyłam pierwszy z tych obrazków, Jenike powziął myśl, żeby to wydać osobno z rysunkami Andriollego jako premium do Tygodnika Ilustrowanego. Zgodziłam się na to, ale teraz drżę na myśl, że ściągnę na siebie uwagę krytyków warszawskich. Dodaj mi odwagi, Elizo.

*

Warszawa, d. 19.9.1879.

Tygodnikowi Ilustrowanemu praca moja, o której Ci pisałem, wydała się zbyt liberalna; musieliby, jak mówią, nowe wywieszać sztandary. Ściśnięta w szpaltach dziennika nie zwróciłaby tak uwagi, ale w oddzielnej książce byłaby nie zawodnie przedmiotem uwag, za które Tygodnik nie czuje się na siłach być odpowiedzialnym przed zastępem swoich czytelników. Proponowane poprawki i skrócenia odrzuciłam. Sądzę, że pomysł jest zły lub dobry, ale nigdy nie powinien być łataniną. Stało się więc, że odebrałam rękopism — i posyłam Ci go, Elizo moja, tak jak jest. Przejrzyj i zawiadom mnie — o ile możesz najrychlej — czy zechcesz to drukować i kiedy. Pytam się dlatego „i kiedy"? — ponieważ praca pióra, prócz idealnych ma też dla mnie praktyczne swoje cele, jako przykładająca się w znacznej części do utrzymania rodziny.

Jeśli zeszyt, który posyłam znajdzie u Ciebie pobłażanie, to później napiszę obrazek, do którego treść zaczerpnę z własnych naszych dziejów społecznego rozwoju. I tu nie braknie silnych rysów. Bo jeżeli mało z tego, co prawdziwie wielkie — prócz wielkiej boleści i wielkiego czasem poświęcenia — w dziejach naszych znaleźć możemy, to jednak przyznać trzeba, że wszystko to, od czego biły gorące najszlachetniejsze w świecie serca, w treści swej nie było narodowi obcem. I tem silniejsze można tu znajdować kontrasta, że naród stracił byt polityczny przez opór stawiany ożywczym prawdom zbawiennych idei, niosących mu nasienie reformy i odrodzenia, a z drugiej strony wraz z chwilą ostatecznego upadku rozpoczęło się to odrodzenie, które się pomyślnie w oczach naszych dokonywa. W każdej sferze duchowego życia narodu trafiamy na odrodzone i wzmagające siły i na resztki wszelakiej niemocy i upadku. Z łatwością więc nie zniżając się do jednostkowych trosk i radości sięgnąć tu można w sferę ideałów, po których szlachetni spodziewają się marzonego pokoju i sprawiedliwości.

*

Warszawa, 22.10.1879.

Droga Elizo!

Czytając **Nowiny** z 19 października domyśliłam się, że to Ty usiłujesz wyciągnąć z kąta kopciuszka, aby mu przymierzyć złoty trzewiczek. Zmiłuj się! nie pasuje on na mnie... Zważ tylko, że niedawno jeszcze, kiedy mnie proszono na jakiś festyn, celem zapoznania z kilkoma osobami piszącemi, jedyną moją odpowiedzią na to był gwałtowny, prawdziwie parfiański rumieniec — i dwie wielkie łzy... Dzika jestem, do szerszego życia przywyknąć nie mogę — a głośna wzmianka wstydzi mnie jak reklama jaka. Wiem jednak, że takim tylko sposobem zwraca się na coś uwagę publiczności; wiem, że zrobiłaś to, serdeczna moja, żeby mi pomóc w tym świecie, gdzie wszyscy rozpychają się pięściami, żeby sobie zrobić miejsce — dla cichych zostawiając obietnice ewangelicznych błogosławieństw.

Nie troszczyłam się nigdy o to, co piszę, tak jak Ty się troszczysz Elizo droga! Tobie chodzi naprawdę o to, żeby całość wyszła jak najlepiej... Czy mogła bym wymyślić coś piękniejszego jak tytuł proponowany przez Ciebie? Zapewne, ten, którym chciałam spoić trzy te ustępy, nie dorównywa mu wcale. **Z przeszłości** jest to słówko jako by odsuwające w oddalone czasy tę walkę, jaka przecież i dziś toczy się jeszcze na wszelkim polu prac i myśli ducha. **Z przeszłości** — to jakby tylko echa — wspomnienie, jakby roztkliwienie się bezużyteczne nad tem, co zastygło i nie wchodzi już jako działający czynnik w ruchy obecne społeczeństw. Tak jednak nie jest, wiesz to sama najlepiej — i zapewne ta myśl poddała Ci piękne nad wyraz określenie mojego zeszytu. Wprawdzie tytuł dawniejszy miał jedną dobrą stronę, mianowicie tę, że zaznaczając niejako silniej, że „to już przeszło" — rozbrajał dla tych kart wielu niechętnych. Po cóż jednak mam się lękać? Konsekwencje zasady przyjąć trzeba lub wyrzec się jej; ja jednak nie jestem z tych, co się wyrzekają zasad.

*

Bad Nauhein,
Salinen 12, d. 13.5.1905.

Moja najmilsza, droga!

Nie piszę, nie mogę pisać! Kto wie, czy bym nawet mówić mogła, gdybym była z Tobą? Myślę, że nie. Przytuliłabym się tylko do Ciebie i wziąwszy w dłonie Twoją drogą rękę milczałabym, a Ty byś i tak wiedziała, co myślę, co czuję...

Może milczałybyśmy obie słuchając, jak przechodzi — nie! jak cwałuje czas nagląc opóźnione sprawy świata do biegu, do biegu... Dalej! dalej! Wszystko musi stanąć u mety w jakiejś wyrocznej godzinie. Wszystko, co jest, umyka z drogi temu, co ma być i będzie. Kto zwlóczył, kto stał, kto w nieruchomość uwierzył — idee, państwa narody — musi teraz na skręcenie szyi dopędzać mety owej, choćby paść. I pada. Świt, trzask, tętenty gwałtownych jak walkirie godzin. A wszystkie z sobą coś niosą — coś co się staje, co chce żyć, co musi żyć, i coś — co umiera. Więc pewno byłoby tak, żebyśmy milcząc słuchały. Może — czekały. Chciałabym doczekać — nie już dnia — ale pierwszego, leciuchnego obrzasku sprawiedliwości.

U STAREJ TAMY

U starej tamy zgięci w łęk
Od długiej, ciężkiej pracy,
Od żrących pyłów ślepi wpół
Mocują się biedacy.

Zapadła pierś ich ledwo tchnie,
Pot im zalewa oczy;
Gną się kolana wyschłych nóg,
A każdy głaz swój toczy...

Trzęsą się czaszki łysych głów
Mdłym, beznadziejnym ruchem,
W schylonych grzbietach trzeszczy [kość
Wiązaniem twardem, suchem..

Każdy z nich dźwiga tyleż lat,
Co i ta stara tama;
Jak dawno żyją — tego śmierć
nie pomni nawet sama.

I ciągną taczki, pęki lin,
Dębowe ciągną tramy,
Umocnić muszą wątły mur
Tej starej, starej tamy..

Lecz próżno sypią gruz i żwir
I próżno walą kłody;
Z pod rąk im chwyta wartki wir
Zapory i zagrody.

Chwieje się belka, pęka sznur,
Staczają skał odłamy!
Potężna fala rwie się w mur
Tej starej, starej tamy...

A wtedy stają, patrzą w dal
Swym osłupiałym wzrokiem
Za tą ogromną siłą fal,
za tchnieniem wód szerokiem.

Zwiędłe im wargi jakiś dziw
I jakiś lęk otwiera;
I patrzą, patrzą, jak z pod nóg
Woda im ląd wydziera.

Ani w nich skargi, ani słów,
Tylko milczenie samo
I zadziwione chwianie głów
Nad starą, starą tamą...

NA FUJARCE

Świecą gwiazdy, świecą
Na wysokiem niebie...
Jeno nie myśl chłopie,
Że to i dla ciebie!...

Ta jasna z tysiąca,
Co wschodzi od boru,
Jako skrawek słońca —
To pana ze dworu...

A niżej ta druga
Ze złota szczerego,
Co nad stawem mruga —
Proboszcza naszego...

A trzecia, co w pobok
Rzuca snop ognisty,
Jako srebrną kądziel —
Gwiazda organisty...

Wszystkie przed oczyma
Palą się, jak zorze...
Tylko twojej nie ma,
Chłopie ty, nieboże!

Powiadają ludzie,
Że z dawnej dawności
Pan Bóg wszystkie gwiazdy
Zapalił w równości...

Ni chłopa ni pana
Nie było na niebie,
każdy człek swą własną
Gwiazdę miał dla siebie...

Ale jak się zaczął
Kurczyć lud ubogi,
Poszły gwiazdy z nieba
Na rozstajne drogi...

A te pańskie świecą,
Jako talar biały,
A te chłopskie w rolę,
Jak łzy, pospadały!

KONIEC WIEKU

...Wentus est vita mea et non revertetur oculus meus, ut videat bona. Job VII, 7.

I.

Budujem stos, wznosimy stos!
Ptak wieku, feniks złoty,
Przedśmiertny swój już wydał głos,
Przedśmiertne podniósł loty.

Już wali się tych sosen las,
Już walą się te dęby,
Które na zgiętym grzbiecie czas
Na stosu nosi zręby.

Już trzeszczy belka, trzeszczy tarm
Zwątlałych wiązań domu,
Co spłonąć ma na stosie tam,
Jak sucha powięź łomu.

Już warczy z dala w chmurach [grom,
Już bliżej, już gdzieś blisko,
Co rzucić ma w ten suchy łom
Czerwone swe iskrzysko.

Dobytych żywic z puszczy żył
Już smolną wonią dyszysz
I łoskot siekier, zgrzyty pił
W ostępach mrocznych słyszysz.

Wygnany mrok, wygnany cień
Z kryjówek matecznika.
— „Na światło zórz! Na świat! Na [dzień!"
Tysiące ust wykrzyka.

I kona kwiat, maleje liść,
Zdeptane stopą czasu;
Co musi dotrzeć, musi iść
Aż w samo serce lasu.

I pieśń po gwiazdach cichnie tuż,
Gdzie się te stopy niosą;
A kwiaty ronią perły z kruż,
Nabranych jasną rosą.

Lecz dziś nie pora drżeć o los
Piosenki, listka, kwiatu:
Budujem stos, wznosimy stos
Na nowe życie światu!

Maria Konopnicka

SZEJ KADRY

No, jak na Siedlęcin 9 kułaków, to partia jeszcze silna. Czy to im może zależyć na tym, aby pod ich nosami rozwirjało się i kzepło wzorowe socjalistyczne gospodarstwo rolne?

Czy właśnie zależy im na tym, aby w PGR działo się najpodlej.

Nazajutrz wróciłem do Siedlęcina.

Z szumem i hukiem zajeżdżam na podwórze PGR: motocykl stawiam pod ścianą przy oknie kancelarii, po czym witam się z Pelcem i Bartelą, którzy wyszli mi naprzeciw. Nie byli zdziwieni.

— Widzicie towarzyszu — zwraca się Pelc do buchaltera — że wyszło jak mówiłem: wrócił! Nasz chłop, widać!

Andrzej Pelc jest reemigrantem z Francji i do PPR już tam należał jako aktywista.

W październiku 1947 r. przyjechał z transportem do Międzylesia, skąd wraz z drugą rodziną repatriantów skierowano go do Siedlęcina do majątku PNZ, podówczas kierowanego przez Michała Ajnhorna, byłego ziemienina zza Buga.

Pan rządca widząc łebskich „francuzów" miał jakieś ważne powody, aby odmówić przyjęcia ich do pracy w Siedlęcinie, motywując, że majątek ma robotników aż za dużo!

Pelc i jego towarzysz nie dali za wygraną: dość byli pomiatani przez francuskich kapitalistów, dość się namęczyli dla wygody i dobrobytu takich panów! Zostawili rodziny na stacji, sami udali się gdzie trzeba: do KP. Partia zadzwoniła do Ajnhorna i nakazała przyjąć reemigrantów. Za parę dni towarzysz z Francji wraz ze swą rodziną przeniósł się do innego majątku, a Pelc rozpoczął pracę w Siedlęcinie, wykonując wszelkie roboty polne i podwórzowe. Stał się „majstrem do wszystkiego".

Wkrótce dyrekcja zespołu przysłała plan przebudowy starej szopy na drugim gospodarstwie na przyszłą wychowalnię buhai zarodowych. Pracę nad przebudową powierzono Pelcowi.

Szopa-olbrzym, pełna okropnych rupieci, pełna dziur w dachu i wybojów w gnijącej podłodze, czyli — jak nazwał to w rozmowie ze mną Witeska — było to wielkie sito do przesiewania gradu. I to „sito" miało wnet stać się cząstką wielkiego sześcioletniego planu, mieszkaniem dla byczków.

Ajhorn oddając plan przebudowy Pelcowi, pogardliwie się uśmiechał.

Pelc zaczął robotę już w listopadzie.

Trzeba było wynosić wszystkie rupiecie: niektóre palić, inne, używać do przebudowy. Powiększano okna, gnijącą podłogę zamieniono posadzką z cegieł, sztuka po sztuce, ładnie, symetrycznie układanych rękami Pelca i niektórych robotników. Potem pobudowano boksy — przegrody, wstawiono żłobki — korytka, na stycznia była gotowa wychowalnia dla 19 sztuk.

Kiedy już wszystko według planu zrobiono, Ajnhorn każe Pelcowi budować zbiornik na wodę z cegieł, ale na zaprawie wapiennej.

W jakim celu? Ajnhorn, były właściciel wielkiego majątku ziemskiego, Ajnhorn eks-hodowca, nie wie, że do takich robót istnieje cement?

rys. St. Gierowski

Ale Ajnhorn od czasu jak Pelc postawił na swoim i został w Siedlęcinie, ustosunkował się do niego bardzo wrogo: do pomocy przydziela mu najgorszy, najbardziej oporny element, ludzi, którzy trzymają z Ajhornem. Kiedy Pelc kłócąc się z rządcą oświadcza mu, że nie podobają mu się jego rządy, Ajhorn przekręca to i robi donosy wszędzie, że Pelcowi nie podobają się nasze rządy.

Co kieruje Ajhornem?

Spróbujmy to zanalizować. Jeśli przy pomocy specjalnie spreparowanej atmosfery Ajhorn rozdzieli zespół robotniczy na żrących się nawzajem wrogów, robota na pewno nie będzie tak szła, jak trzeba... Jeśli jedni staną za Pelcem, drudzy za rządcą — ci, którym będzie zależeć na łaskach Ajhornów, zajmą się — podstawieniem „wrogowi" nóg... Jeśli robotnika będzie się traktować tak, aby jego warsztat stał się mu obrzydłym, wydajność musi się zmniejszyć. Jeśli nie będzie się dążyć do szkolenia robotnika, do utwierdzania wiary w jego siły, a na odwrót, Ajhorny będą swoją postawą odwodzić od pracy nad sobą, utwierdzą w przekonaniu, że robotnik ma być tylko robotnikiem. Ta taktyka była w Siedlęcinie widoczna.

Pelc się w tym dobrze orientował, toteż był on solą w oku Ajnhorna.

Perwszy deputat Pelca, to zrośnięta pszenica spod młynka.

Wszystkim robotnikom, którzy nie popierali polityki Ajnhorna, zalegał on z wypłatą w naturaliach i gotówce za kilka miesięcy.

Potrafił on wzywać Pelca do swego prywatnego mieszkania w nocy i, na miesiące naprzód wydawać fantastyczne zlecenia, straszyć go, szykanować, obrzydzać pobyt w Siedlęcinie do niemożliwości.

Pan Ajnhorn wie, że Pelc jest niewinny, że nikt nie uwierzy w podejrzenie rzucone na niego, ale nie o to chodzi, aby Pelca zamknąć; chodzi o to, aby na placówce socjalistycznej gospodarki rolnej atmosfera była stale naprężona: „Aby do zimy... (Anders?); Aby do wiosny... (Ameryka); Aby do jesieni (Churchill); Aby do wiosny (Pakt Atlantycki). Aby do jesieni: Bomba wodorowa!

Ajnhorn odszedł.

W tym czasie kierownikiem Siedlęcina zostaje Szejna. Gospodarstwo zaczęło rozwijać się w oczach. Gdy Szejna odchodzi gdzie indziej, na jego miejsce kierownikiem zostaje Pelc.

Ale nie ma komu naprawiać wozów, siewników, sprzętu. Dobrze jest być kierownikiem, ale o stelmacha trudno, co raz trudniej. Starania Pelca i dyrekcji zespołu nie dają rezultatu.

Pelc z Polski wyemigrował na skutek bezrobocia. Opowiada mi ten dzielny komunista, jak przed wojną wychodził na drogę i wyczekiwał jakiejś okazji zarobku przy zepsutych wozach. Kiedy znużenie kładło go na trawę przydrożnych rowów, Pelc na podeszwie buta kredą wypisywał cenę wynajęcia się do roboty. Czasem zdarzało się, że ktoś obudził Pelca i dał mu zarobić, ale to nie ratowało od ciągłego głodowania, poniżenia i nędzy.

We Francji była robota w kopalni, w której rychło znalazł chroniczny reumatyzm. Idzie do fabryki cukierków i aż do wojny pracuje na francuskich kapitalistów. Zostaje zmobilizowany do armii Sikorskiego, dostaje się do niewoli, z której wraca do rodziny we Francji w 1945 r., po czym zapisuje się na wyjazd do Polski, następnie perypetie z Ajnhornem, ale i to przeszło, tylko Pelc się martwi, czy Ajnhorn nie bruździ gdzieś w innym terenie. Do warsztatu wraca chętnie, przeświadczony, że sprawa budowy socjalizmu nie polega tylko na awansie, ale, jak w jego przypadku nawet i na pewnego rodzaju „degradacji".

Siedlęcin już się staje wzorowym gospodarstwem, gdy chodzi o wychów buhai zarodowych. Wychowalnia jest pod opieką przodownika pracy, towarzysza Witeski, mało rozgarniętego robotnika, gdy chodzi o książkowość, ale doświadczonego fachowca.

Kiedy pierwszy raz przyszedłem do jego „władztwa", od razu wrócił do sprawy trzech nierasowych byczków, jego zdaniem, absolutnie nie mających prawa do tego, aby być w siedlęcińskiej wychowalni:

— Obejrzyjcie towarzyszu tego tutaj — bierze mnie Witeska pod rękę: jakiś perkalikowy, zamiast łaciaty... A ten zaś, patrzcie: zadek u niego jak skrzypce, morda natomiast niczym balia... tamten, baczcie: trzyma się na łapach jak antałek piwa... to buhaje? to...to... kurzoki! — parsknął śmiechem Witeska rad, że udało mu się znaleźć natrafniejsze określenie: kurzok w gwarze hodowców gołębi, to nierasowy, zwyczajny gołąb. — Pasibyki sakramenckie chcą mi tu zaśmiecić wychowalnię, ale ja się nie dam... Nie potrzebujecie się znać na tym, a już widać, co to za towar, nie? Ale nie doczekanie ich! Już postawiłem sprawę na Podst. Org. Part. i zobaczymy, kto ma rację: czy ja, czy ten, kto ich tu przysłał!

Byczki są czyste, ogromnie figlarne i robią wrażenie wypielęgnowanych. Witeska chodzi koło nich, jak dobra niańka koło dzieci, które kocha.

Jan Witeska przed wojną, to najbardziej upośledzony rodzaj proletariusza: harował od świtu do zmroku na pana, i jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że nosi on z sobą jeszcze i spadek po sanacji — analfabetyzm częściowy, można sobie wyobrazić, jak żył przed wojną i ile zarabiał.

Pochodzi zza Buga, w Siedlęcinie jest od 36 roku, ma troje małych dzieci i dorosłego syna, który zajęty jest tutaj jako stróż nocny.

Sprawa wychowalni to rzecz nie taka podrzędna, jak mnie się początkowo zdawało: od tych przyszłych „baszów" zależy przecież cała gospodarka mleczna, nie dziwno mi więc, teraz, gdy widzę, z jaką troskliwością obchodzi się Witeska ze swymi wychowankami.

Dzień pracy Witeski jest bardzo gorący: o 5 rano wyrzuca się gnój i nakłada świeżą ściółkę, czyści się byczki i futruje, po czym wyprowadza się je na ogólnik: do boksów na powietrzu idą starsze, małe zaś biegają po ogólniku cały dzień. Po południu byczki starsze, w wieku od 14 miesięcy są wyprowadzane na 2 kilometrowy spacer, co czyni się z każdym osobno. Około 18 godziny zaczyna się mycie wychowanków z całodziennego błota i kurzu, po czym na noc zaprowadza do boksów w stajni. W porze letniej na noc będą pozostawać na powietrzu.

Witeska, zamiast według normy obsługiwać 14 sztuk, obsługuje prawie drugie tyle i dlatego jest przodownikiem pracy. Chwali sobie robotę i, widać, jest to jego świat: na każdego byczka (z wyjątkiem „kurzoków") patrzy jak wiecznie zachwycony fanatyk-hodowca. Byczki lubią łasić się do swego pasterza, ów zaś, tylko z nimi by obcował. Trzeba jednak przywieść śrut z magazynu, trzeba każdego starszego byczka wyprowadzić na spacer: roboty dość.

I Witeska czuje się naprawdę jak człowiek, który bardzo wysoko zawansował, bo też zważmy: ten pomiatany przez dawny ustrój półanalfabeta, dziś wraz z dodatkiem rodzinnym na żonę i troje dzieci otrzymuje około 27.000 zł, może chować prócz świni, kur, kaczek itp. dwie krowy na karmie PGR za minimalnym zwrotem części kosztów utrzymania, po 2.000 zł od sztuki!

— Nowa umowa zbiorowa dużo wam daje — stwierdzam w rozmowie.

— I przed umową nie było źle, tylko ludzie nie umieją sobie radzić. Gospodarstwo chce się opierać na robotnikach stałych, a ludzie latają co miesiąc gdzie indziej... kto nie przyjdzie z nowych, zazdrości mi dobrobytu... Niech posiedzą na zadku tylko dwa lata w jednym miejscu, mogą się sami dochować krowy, bo cielaka za grosze można kupić, a jak wam wiadomo, PGR ma obowiązek za darmo wychować robotnikowi takiego cielaka aż do pierwszego mleka! Dalej: stały robotnik dostaje działkę ziemi ponad ćwierć morgi, a jeśli to chłop rodzinny, dodatkowo po 5 arów na głowę: działkę tę mechanicznie obrobi PGR za zwrotem złotowych kosztów paliwa. Gdyby ktoś na wiosnę przybył do nas biedny jak mysz, już na jesieni z takiej działki może zebrać spory grosz za same ziemniaki. Za to można już kupić i prosię, i cielaka, i wiele, wiele, ho, ho! i za parę lat stać się można zażywnym tak, że niejeden pozazdrości, tylko trzeba posiedzieć na miejscu, pomęczyć się trochę, zagospodarować, a nie latać co raz to gdzie indziej i na takie latanie czas tracić.

Czesław Schabowski

110-lecie urodzin D. J. Pisariewa

D. J. Pisariew

15 października br. mija 110 rocznica urodzin D. J. Pisariewa, znakomitego rewolucyjnego publicysty rosyjskiego lat 60-tych XIX wieku.

Pisariew żył zaledwie 28 lat (z tego 4 lata i 6 miesięcy spędził w więzieniu, skazany za autorstwo nielegalnie wydrukowanego artykułu, skierowanego przeciwko despotyzmowi carskiemu). Jego rewolucyjna działalność publicystyczna przypadła na lata 1856 — 1868. Pisariew krytykował ostro w swoich artykułach stosunki pańszczyźniane Rosji i ucisk caratu; krytycznej analizie poddał także kapitalizm zachodnio-europejski. Był on przekonany, że nadejdzie czas, w którym zostanie rozstrzygnięty „wiekowy spór między pracą a kapitałem", w którym ani jeden człowiek nie będzie miał możliwości „eksploatować pracę setek innych ludzi". W swoich artykułach krytyczno-literackich Pisariew głosił konieczność rozstrzygania zagadnień sztuki z punktu widzenia interesów mas ludowych, walczył przeciwko idealizmowi i mistyce w pojmowaniu sztuki, żądał od literatury obnażania przeciwieństw rzeczywistości społecznej, domagał się realizmu. W historii rosyjskiej filozofii materialistycznej Pisariew zajmuje wybitne miejsce, jako gorący zwolennik idei materialistycznych. Pisariew w walce z caratem, w walce o szczęście mas ludowych stanął obok rewolucyjnych demokratów — Czernyszewskiego, Dobroliubowa, Hercena.

Lenin zaliczał Pisariewa do swoich ulubionych pisarzy rewolucyjnych. Spuścizna literacka Pisariewa, wybitnego krytyka literackiego, publicysty filozofa — materialisty i rewolucyjnego demokraty, stanowi cenny element współczesnej kultury socjalistycznej.

JACEK TRZNADEL

KSIĄŻKI O LUDZIACH RENESANSU

Dwie z nowych pozycji, jakie się ukazały na rynku księgarskim w ciągu ostatniego roku, mają nas przybliżyć do problematyki i postaci literatury szesnastowiecznego Odrodzenia. Są to: praca Morozowa o Szekspirze i powieść biograficzna Bruno Franka o Cervantesie *). Jest między tymi książkami szereg zbieżności. Zasadniczą jest ta, że omawiają one pisarzy tego samego okresu, o którym pisał Engels: „epoka, która potrzebowała tytanów i która zrodziła tytanów myśli, namiętności i charakteru, wszechstronności i wiedzy". I jeszcze jedna zbieżność: świadomość, że dopiero nasza epoka potrafi ocenić i właściwie zinterpretować ludzi Odrodzenia i ich dzieło. U Franka jest to jeszcze świadomość niepełna, nie znajdująca pełnego potwierdzenia w obrazie literackim, wyrażająca różne burżuazyjne ograniczenia — raczej deklaratywna. Ale mimo wszystko słowa jego brzmią prawdziwie. „Kiedyś, — pisze Frank wprowadzając nas w tok myśli Cervantesa — postanowił to w tej chwili, niemaskowana prawda musi się przebić w jego książce, każdemu dostępna i zrozumiała. Kiedyś przemówi... Późno, na samym końcu, po setkach przygód i tysiącu stron zabrzmi czarodziejskie słowo. Na tylnym progu rozległej budowli położy maleńki klucz do jej najwnętrzniejszej komórki". A Morozow pisze: „Hemingе i Condell, ...aktorzy z „Globe'u", zrozumieli, iż nie wystarczy przeczytać Szekspira, lecz należy go czytać wciąż na nowo, przeczuli oni nie ujawnione jeszcze głębie jego utworów".

„Wiek socjalizmu" znosi ograniczenia klasowe. Zależy nam na tym, aby w jasnym świetle dojrzeć w przeszłości ludzkości to, co jest tam postępowe i wielkie — prawdziwie humanistyczne.

Książki Morozowa i Franka różnią się jednak między sobą w sposób zasadniczy. Różnice wynikają przede wszystkim z historycznego podejścia autorów. Książek o Cervantesie i Szekspirze nie pisali autorowie posługujący się jednakowymi metodami Frank—pisarz niemiecki, z okresu, kiedy Niemcy szły nieuchronnie do faszyzmu, zbliżający się światopoglądowo do niemieckich kół postępowych, — i Morozow, szekspirolog radziecki uzbrojony w niezawodną metodę marksistowsko - leninowskiego poglądu na świat, w marksistowską metodę badania literatury. Również zagadnienie literatury hiszpańskiej i angielskiej w okresie Odrodzenia jest różne z powodu specyficznych dla każdego kraju stosunków historycznych.

Przekład książki Morozowa o Szekspirze należy powitać z radością nie tylko jako pracę o największym pisarzu angielskim doby Odrodzenia — pracę dostępną dla szerokiego ogółu. Jest to zarazem praca historyczno-literacka, która niewątpliwie spełni pozytywną rolę w zbudowaniu właściwej interpretacji Odrodzenia, co w obliczu niezbyt licznych i posługujących się burżuazyjnymi metodami prac polskiej szekspirologii — przyczyni się do należytego zrozumienia Szekspira i jego epoki. Praca Morozowa jest jednocześnie informacją o najważniejszych osiągnięciach szekspirologii radzieckiej, która potrafiła odczytać Szekspira, i co ważniejsze praca ta jest informacją o dramaturgii radzieckiej, która potrafiła Szekspira zagrać. Zarzucono jałowe badania nad „wiecznym" schematem twórcy, instynktem i namiętnością czy preromantyzmem Szekspira. Najcenniejsza cecha pracy Morozowa to przede wszystkim właściwe podejście historyczne do problematyki Odrodzenia, umiejętność subtelnej analizy nadbudowy ideologicznej traktowanej przez Morozowa wg. zasad dialektyki marksistowskiej. Szekspir został tu umieszczony na tle tradycji literackiej epoki jako ogniwo linii rozwojowej literatury angielskiej i światowej — dlatego też nie pomija Morozow i perspektyw, jakie dała twórczość Szekspira — mówi o dalszym rozwoju literatury angielskiej.

Morozow dobitnie podkreśla to, co zresztą w ogóle zostało uwypuklone w szekspirologii radzieckiej: o Szekspirze nie można mówić, nie znając teatru elżbietańskiego. Dopiero znajomość tego teatru, nie tylko zewnętrzna jak to czyniono dotąd, odnośnie możliwości technicznych itd., ale przede wszystkim odnośnie warstw społecznych, jakim służył, będąc tzw. teatrem otwartym mogą nam o nim powiedzieć prawdę. Przez pryzmat tego teatru należy śledzić nurt plebejski w twórczości Szekspira, który zgotował mu nieśmiertelność. Podczas gdy „...współczesny Szekspirowi pisarz Lyly marzył, by powieść jego była przechowywana w szkatułce wielkiej damy... Szekspir oddał swą twórczość pod sąd mas". Za jeden z powodów obniżenia się poziomu teatru angielskiego uważa Morozow zamknięcie teatrów „otwartych". W zamkniętych bowiem bywała tylko arystokracja. Należy dodać, że jest to oczywiście powód wtórny, bo i zamknięcie ludowych teatrów było spowodowane biegiem historii, która stępiła rewolucyjność angielskiego mieszczaństwa. Rolę tego mieszczaństwa ocenił Morozow słusznie, np. w jego stosunku do monarchii absolutnej, co bardzo plastycznie ukazał w scenie spisku hrabiego Essexa przeciw królowej Elżbiecie. Mieszczaństwo Londynu pamiętało dobrze dezorganizację związaną z rządami partykularyzmu feudalnego. Mieszczaństwo w tym okresie wiąże się w sojuszu właśnie z monarchią absolutną.

Analiza Morozowa nie jest oczywiście socjologistyczną próbą wyjaśniania twórczości Szekspira, lecz marksistowską, dialektyczną. Tak więc — ujawnia np. ewolucję plebejskich form dramatycznych średniowiecza do dramatów Szekspira. W dziedzinie językowej oczywiście ważny jest postulat zrozumienia Szekspira na tle konwenansu epoki, jej składni, wyrażeń, więcej — społecznego sensu zwrotów językowych, konwenansu gry aktorskiej itd. Że jednym z niesłychanie ważnych postulatów badania Szekspira jest umiejscowienie go na scenie — świadczą osiągnięcia dramaturgii radzieckiej. Np. zawikłany język Szekspira, który zdaje się być niezrozumiałym, na scenie dopiero nabiera wyrazistości i mocy, wręcz pomaga aktorowi, narzuca mu gesty i mimikę, ton głosu. Praktyka teatralna dała też wiele odnośnie zrozumienia treści ideologicznej sztuk Szekspira. Np. w stosunku do interpretacji „Otella" panowało przekonanie, że jest to tragedia zazdrości. Teatr radziecki udowodnił, że przeciwnie — jest to tragedia ufności, wydobywając głęboko humanistyczną treść dramatu.

Umieszczając Szekspira na tle tradycji literackiej i wskazując dalszą drogę teatru angielskiego, rzucił też Morozow koncepcję wewnętrznej dynamiki rozwoju twórczości Szekspira, dzieląc jego twórczość na trzy okresy, z których każdy wypełniony jest utworami o charakterystycznej problematyce. I tak pierwszy okres to okres pełnych radości, wesołych komedii. Wyrażał tutaj Szekspir jutrzenkę Odrodzenia, która zwiastowała nową erę w dziejach ludzkości po nocy średniowiecza, przesądów religijnych i niewoli człowieka opartej na systemie feudalnym. Dla ludzkości przeżywającej wtedy, według słów Engelsa, swój największy postępowy przewrót, pojawia się nieuchronna konieczność zburzenia starego scholastycznego systemu poglądów, w miejsce zabobonu, przesądu, umartwienia ciała — należy postawić ideał nowego człowieka.

Drugi okres twórczości Szekspira jest tragiczny: tu powstają najwspanialsze tragedie Szekspira. Gdyż Szekspir żył jednak w okresie powstawania kapitalizmu, który od samego urodzenia nosił w sobie nieuchronne sprzeczności. Kapitalizm nie powstał jednak na drodze pokojowej. Towarzyszyło mu morze zbrodni i łez. Pierwotna akumulacja zepchnęła w otchłań nędzy masy ludowe.

W trzecim okresie Szekspir znów zdobywa się na ufność — oddaje się „baśniowemu marzeniu". To właśnie oddaje ostatnie prawdopodobnie dzieło Szekspira — „Burza". Ta ufność, to głęboki humanizm Odrodzenia, które wierzy jeszcze w człowieka. Gdyż kapitalizm reprezentował wtedy to, co było nowe i postępowe, reprezentował nieuchronną fazę rozwoju ludzkości. A w dziedzinie świadomości społecznej jego ideologowie żądali szczęścia ludzkości, a przynajmniej tezę tę formułowali. Ten okres w twórczości Szekspira nazywa Morozow „romantycznym". Cezury te i wewnętrzną dynamikę twórczości uzasadnia Morozow za pomocą analizy formalno-ideologicznej, dając zarazem świadectwo, że jedynie metoda marksizmu mogła się zdobyć na trafną syntezę pozornie niewyjaśnionych sprzeczności w twórczości Szekspira.

Morozow porusza także kwestię rozpalającą niegdyś do białej gorączki szekspirologów: zagadnienie autorstwa. Z tego na pozór przebrzmiałego, „sensacyjnego" zagadnienia wydobywa Morozow bardzo ciekawą interpretację całej kampanii o zagadnienie autorstwa, twierdząc, że wiele z tych prac miało specyficzny wydźwięk ideologiczny, będąc już to protestem przeciw tradycyjnym filisterskim metodom interpretowania Szekspira, bądź odwrotnie — między uczonymi skłonnymi znajdować „szekspirów" wśród arystokracji — reprezentując dążność do wyeliminowania człowieka z „nizin".

Morozow nie napisał swej książki jako studium historyczno - literackiego, nie mieści się ona także w ramach essay'u — niektóre rozdziały mogłyby wejść w skład powieści biograficznej. Najczęściej te trzy elementy splatają się razem dając w całości żywy, barwny, pociągający i w pełni historyczny obraz Szekspira, jego teatru i epoki.

W przeciwieństwie do Morozowa Frank konsekwentnie utrzymał swoją książkę w ramach powieści biograficznej. Trzeba zaznaczyć od razu, że problemu Cervantesa złączonego ściśle z historią Odrodzenia w Hiszpanii, nie rozwiązał Frank w sposób zadowalający. Książka jednak zawiera wiele niewątpliwie pozytywnych sformułowań. Autor chciał wyrazić prawdę czasów Cervantesa, podszedł jednak do tematu raczej psychologicznie niż historycznie. Na książce zaważył ten pisarski eklektyzm.

Zacznijmy od analizy obrazu epoki w książce Franka. Hiszpania króla Filipa jest dla Franka zjawiskiem, które tłumaczy w sposób idealistyczny — jako kaprys, jako wielką iluzję panującego. Że wybiorę jeden szczegół: tak np. klęska Wielkiej Armady — to wg. Franka kwestia wyboru wodza, przypadku itd. Klęska ta załamuje ostatecznie państwo. Jasnym jest, że była ona raczej jednym z symptomów kruszenia się potęgi monarchii absolutnej w Hiszpanii, która wskutek skomplikowanego rozwoju historycznego (walki z Maurami) nie miała oparcia w mieszczaństwie. Frank ukazuje jedynie poszczególne symptomy tego stanu rzeczy. Zdaje sobie np. sprawę z charakteru Hiszpanii jako wielkiego rynku tranzytowego w gospodarce pieniężnej — nie umie jednak wyciągnąć z tego wiążących i wyjaśniających strukturę gospodarczą kraju wniosków. Zresztą postać króla Filipa interesuje go bardziej jako pewien typ psychologiczny.

Dlatego też metoda Franka nie dała słusznych w pełni wyników również przy ocenie postaci Cervantesa. Marksistowska koncepcja dziejów kultury interesuje się twórcą raczej w perspektywie dzieł literackich, którymi w doskonały sposób potrafił wyrazić chęci, dążenia i iluzje epoki — jej historyczną treść. Dla Franka Cervantes jest znów przede wszystkim pewnym typem psychicznym. Oczywiście do pełnego zrozumienia problematyki twórczości i jej dynamiki, do pełnego powiązania jej z historią epoki to nie wystarcza. Trzeba przyznać, że biografia Cervantesa jest jedną z najbardziej może awanturniczych, nadających się do powieściowego traktowania — jest to biografia człowieka, który doświadczył różnych stron życia Odrodzenia. Nauka na uniwersytecie, kariera zapoczątkowana służbą u kardynała Aquavivy. służba w wojsku don Juana d'Austerio, udział w bitwie morskiej pod Lepanto, niewola u korsarzy algierskich i prawie przypadkowe uwolnienie, później w Hiszpanii urząd poborcy podatkowego i związany z tym powtórny pobyt w więzieniu — to zaiste żywot awanturniczy. Frank ujmuje go raczej od strony psychiki twórcy. A biograf Cervantesa powinien raczej ujawnić tę postać jako wybitnie typową dla warstwy drobnej szlachty hiszpańskiej— hildagów, ukazać Cervantesa na tle dążeń tej warstwy i arystokracji. Ta typowość zostaje jednak przyciemniona przez jakieś rozluźnienie związków między poszczególnymi działającymi osobami. Sugestywność obrazów i kreacji psychologicznej sprzyja temu zatarciu konturów obrazu. W ten sposób powieść sugeruje raczej jedną z „wiecznych" odmian psychologii twórcy, niż samego twórcę w konkretnych warunkach historycznych.

Druga sprawa to kwestia oceny twórczości Cervantesa. Warto zatrzymać się przy ocenie „Don Kichota" przez Franka. Interpretacja jest ciekawa i zbliża się do interpretacji marksistowskiej. Frank zdaje sobie jasno sprawę, że „Don Kichot" nie jest tylko satyrą na powieści rycerskie — co zresztą widziała krytyka mieszczańska już w drugiej połowie XIX w. A co dostrzegała jeszcze? Bardzo wiele rzeczy: odwieczną walkę realizmu z idealizmem, wieczne przeciwieństwo pierwiastków duszy ludzkiej, sprzeczności charakteru narodowego Hiszpanów itd. Frank pisze: „Czy (ludzie) w osobie jego hildaga poznają ducha Hiszpanii, z wielkoduszną ślepotą uganiającego za minionym, podczas gdy dookoła świat budził się do nowej rzeczywistości". Za klucz do „Don Kichota" uważa Frank przede wszystkim jego głęboki humanizm. I to jest słuszne.

Oczywiście, nie wyjaśnia tu Frank wszystkiego, a i to, o czym mówi — mówi w sposób niezbyt dokładny. Należy tu przede wszystkim zrozumieć, do jakich warstw społecznych zaliczali się odbiorcy powieści rycerskich. Były to najniższe warstwy hidalgów, a literatura ta zwała się „sznurową" (od zwyczaju wieszania książek na sznurach w budach jarmarcznych). Chodziło właśnie o przeprowadzenie dowodu, czego Frank zresztą nie zrobił, że don Kichotem mógł być tylko hidalgo — podobnie jak był nim Cervantes. I tylko ta klasa, jej warstwy dolne, zainteresowane były, mimo całego przywiązania do monarchy — w żywiołowym i szlachetnym, pełnym nieraz gorącego oburzenia buncie przeciw anachronizmowi stosunków w Hiszpanii — choć sam ten bunt wyrażały często w sposób anachroniczny.

Frank niewątpliwie ujawnia plebejskie cechy w twórczości i życiu Cervantesa. Jednocześnie wydobywa zdrowe odruchy protestu przeciw mistyce i jej wynaturzeniom. I tak intermedium „teatr cudów" jest satyrą na uporczywe starania o czystość krwi katolickiej, jest satyrą na wyroki inkwizycji. Obszerny opis literacki wystawienia tego intermedium miał swoją wymowę w okresie nazistowskim, kiedy sprawa czystości rasy „wybranego narodu" stawała się coraz bardziej aktualna. Jest to rys niewątpliwie demokratyczny w powieści Franka. Nawet na tak odległej od epoki współczesnej, zdawałoby się, powieści biograficznej, kładzie piętno historia czasu. To antyfaszystowskie nastawienie Franka nie pozostało bez wpływu na książkę. Pozwoliło wydobyć, w sposób niepełny oczywiście, obciążony ładunkiem psychologicznym, z brakami w rzucie historycznym — humanizm i postępowość postaci Cervantesa.

Jacek Trznadel

***) Bruno Frank, Cervantes, „Wiedza", 1949, tłum. Wandy Kragen.**
Morozow, Szekspir, „Czytelnik". 1950.

WOJCIECH NATANSON

POWIEŚĆ O FRANCUSKIEJ KOLLABORACJI

André Chamson pisał swą powieść pod tytułem „Studia cudów" *) na przełomie lat 1942/43. Można jednak przypuszczać, że snuł wrażenia od pierwszych miesięcy po klęsce francuskiej 1940 roku, że nawet sporządzał notatki. Książka ma wyraźnie treść **narastającą**: od pierwszych chwil oszołomienia i pierwszych odruchów buntu aż po wyraźną diagnozę, ustaloną po dwóch latach klęski. „Triumfujące lato" — pisze Chamson w pierwszym rozdziale części drugiej — nie mogło ukryć przede mną ludzkiej nędzy. Tych kilka dni nieobecności wystarczyło, aby mi ją ukazać w nowej postaci. **Nie była to już dla mnie niezrozumiała halucynacja, ani przerażający koszmar. Była to rzeczywistość każdej sekundy.** Zatapiała nas od roku przeszło i odnojdywałem ją wszędzie, podobną do pokładów kurzu, który zastajemy w domu na meblach po powrocie z podróży. Aby wyrwać się z tej obsesji, zaczynałem przypominać sobie **pierwsze czasy naszej niedoli**. Wtedy przynajmniej **wszystko wydawało się absurdalne i nierzeczywiste**, i mieliśmy wrażenie, **że dość byłoby otworzyć ponownie oczy, aby ujrzeć jak znikają wszystkie nasze nieszczęścia.**

Punkt końcowy dramatu określony jest równie dokładnie: jest to moment zajęcia Francji Południowej, czyli tak zwanej „wolnej strefy" przez wojska niemieckie, w listopadzie 1942 roku. Znakomity opis tego wydarzenia znajduje się w rozdziale „Oto stalowe sandały": „W ciągu kilku minut zajęli całe miasto. Na każdym skrzyżowaniu posterunki w białych rękawiczkach wskazywały kierunek południowy gestami automatów. Samoloty wynurzały się spoza dachów i znikały za kominami w warkocie śmigieł i świście karburatorów. Był to widok fantastyczny, gdzie wszystko było niedorzeczne i ścisłe aż do najmniejszych szczegółów. Przed budynkami publicznymi stały auta. Wychodzili z nich weterani o siwych skroniach, którzy wyglądali tak, jakby przez całe lata byli funkcjonariuszami naszej prefektury, poczty, czy też izby skarbowej. Wchodzili na schody, otwierali drzwi — żaden z nich się nie mylił, żaden z nich nie pytał o drogę". Każdego, kto widział przemarsz wojsk niemieckich, uderzyć musi realizm i trafność tego opisu.

Ale właściwa treść książki dotyczy wypadków wcześniejszych. Nie okupacja niemiecka i nie zachowanie się najeźdźców stanowi główny temat „Studni cudów". Zagadnienie główne — to rządy Francuzów, którzy z ramienia Hitlera i korzystając z klęski własnej Ojczyzny, zapanowali nad sytuacją w latach 1940 — 1942 na terenie Francji Południowej i Środkowej. Słowem — chodzi tu o **problem kollaboracji**, o tych ludzi, których autor nazywa „faworytami czasów nieszczęścia".

Autor stawia sprawę niezmiernie ostro. Gotów byłby przebaczyć „ludziom w zielonych mundurach". „Nie można pozbyć się bez reszty ludzkiego stosunku do nieprzyjaciela. Wiedziałem o tym, widziałem niegdyś tych młodych ludzi, jak przesadzali bez tchu nasze zasieki z drutu, z błagalnym spojrzeniem i rękami wzniesionymi ku niebu". Inny jest natomiast stosunek Chamsona do kollaboracjonistów. „Ale ci zdrajcy? Za cenę jakiej pokuty mogliby odzyskać to, co w nich było wspólnego z nami?... Nic już nie przywróci im miejsca w hierarchii ludzkiej, ani poniesiona przez nich kara, ani nasza zemsta".

Nienawiść Chamsona w stosunku do zdrajców własnego kraju ma przyczynę głęboką. Dostrzega tu pisarz najstraszliwszy objaw szkody, wyrządzonej Francji przez zwycięstwo faszyzmu. Rządy petainowców były władzą wykonywaną nikczemnie, szerzącą zgniliznę. Nie na darmo zaczyna się książka od opisu chwil, w których „hycel był panem miasta". Początkowo poluje on tylko masowo na nieszczęsne zbłąkane psy; wciąga je w zasadzkę, zamyka, torturuje, zabija z cynicznym sadyzmem. Lecz wkrótce został oficerem czarnej milicji petainowskiej i „polowania na zbłąkane zwierzęta zastąpił polowaniem na prześladowanych ludzi". Jednak „ścigania psów nie poniechał bynajmniej, uprawiając je od czasu do czasu z czystego zamiłowania, jak ongi wielcy panowie — łowy na jelenie lub odyńce".

Wkrótce wprowadza autor na scenę innych jeszcze „faworytów nie szczęścia". Są spekulanci i paskarze, dorabiający się majątku na nędzy i głodzie mas. Są także prowokatorzy i szpicle: „Czemuż miałem się dziwić, że spotkałem go na mej drodze? W epokach przeklętych, był on konieczny. Wydzielały go, jak rana wydziela ropę, ślina — bakterie, a padlina — robactwo. Nadchodził wraz z głodem i niewolą, ze zgnilizną i zarazą... Wdzierał się w powszechne milczenie przy pomocy łomu i wytrycha. Rządził czarnym rynkiem sumień".

Jest komendant „szkoły wodzów", „wylęgarni panów jutrzejszego świata", gdzie kształci się dzieci przy pomocy denuncjacji, policyjnych gwizdków, wpajania pogardy do ludzkości i nienawiści do samodzielnego myślenia. Jest minister, spryciarz, nędzny literat, pederasta, pokrywający swą nicość otwartym cynizmem; głoszący ideę „Rodziny" z lubieżnym zerkaniem w stronę wymalowanego sekretarza, oraz wyznający w mowie publicznej, że „woli Francję powaloną i zmiażdżoną nieszczęściem — od tamtej Francji". Ostre docinki sięgają wreszcie samego Petaina „głuchego starca, któremu Ojczyzna pomieszała się z własną osobą".

Gdy się czyta w szwajcarskiej „Weltwoche" zdania, że marszałek Pétain był jedynym prawdziwym monarchą Francji od roku 1789 i że dziś jeszcze jest on jedną z największych i najuczciwszych sił swego kraju (sic!), trudno nie uznać aktualności i celowości uwag „Studni cudów".

Lecz poza politykami i żołdakami, zdradzającymi swój kraj i cynicznie zakłamanymi, dostrzega Chamson siłę kierującą, równie złą i groźną. To **burżuazja**, uosobiona w postaci potężnego i wszechobecnego kupca Tourinas. „Ten wróg materializmu, ten apostoł pokuty, ten zwolennik moralnego odrodzenia, wykazywał zadziwiającą zdolność unikania morderczych ciosów zarządzeń, dekretów, przepisów i ustaw, dotyczących wszelkiego rodzaju ograniczeń... W wigilię dnia, w którym ograniczono sprzedaż drzewa tak dalece, że ludzie niezamożni nie mogli już rozpalić ognia pod kuchnią, sprowadził cały las do piwnic swego domu". „Dobrobyt materialny był w oczach pana Tourinas dynamitem, wybuchającym w rękach tych, którzy nie powinni go byli posiadać, **ale tylko w ich rękach**".

Oto świat kolaboracji, ujęty — jak widzimy — ostro, celnie i bez omówień. Rzeczywistość pierwszych dwóch lat wojennych przybiera tu jednak, niestety, czasem kształty jakiejś upiornej wizji. Chamson nie ogranicza się jednak do budzenia grozy. Jego stanowisko jest postawą moralisty. Jak słusznie powiedział **Erenburg**, „Studnia cudów" jest **książką, opisującą szkody, wyrządzone Francji przez faszyzm.** Chamson nie gardzi ani subtelną ironią, ani logicznym obnażaniem sprzeczności i nonsensów przeciwnika, ani hojnie rozsiewanym kontrastem liryzmu i wzruszenia. Tourinas'owi i jego zakłamaniu przeciwstawia nieszczęśliwego, pełnego uroku „pana z Wiednia", życzliwie rozdzielającego wszystkim uprzejme pozdrowienia i pełnego godności — nawet w chwili aresztowania. Na przekór hyclom, prowokatorom, zdrajcom wychwala pisarz piękno ludzi prostych, nieustraszonych w cichym oporze. Zapewne, że konspiracja nie wysuwa się tu na plan pierwszy. Ale trzeba pamiętać, że nie jest to książka o konspiracji — tylko o kolaboracji. Historycznie rzecz biorąc, Ruch Oporu na wielką skalę zaczął się we Francji dopiero wiosną 1943 roku, a więc już po ukończeniu akcji „Studni cudów".

Dobrze się stało, że przełożono tę książkę na nasz język. Czytelnicy Związku Radzieckiego znają już od dawna „Studnię cudów", jak stwierdza list Ilii Erenburga do pisarzy Zachodu. Książka Chamsona została doskonale przełożona na język polsik. Ryszard Matuszewski umiał oddać wszystkie subtelności jej języka, który przy całej swej obrazowości nie przestaje być prosty i jasny. Języka, w którym odbija się długoletnia tradycja prozy francuskiej od France'a do Romain Rollanda.

Wojciech Natanson

*) A. Chamson „Studia cudów". Czytelnik 1950. Tłum. R. Matuszewski.

IVAN SKALA

MAJ ZIEMI

W słonecznym ogniu myśli,
w ogniu kowalskiej pięści
rodzi się nasza przyszłość.

Stojący przed nami plan,
współzawodnictwo i norma
oto jest nowe szczęście.

Szerokie jasne powietrze
wita mnie tego rana.
I obejmuje je wzrokiem radośnie,
z warkotem maszyn, śpiewem
ptaków w uszach.

Najprostszy, młody uśmiech
ludzi, trybów i wzgórz
kruszy mi serce.

Ponad ciągnącym pochodem
promiennych nowych ludzi
stąpa Lenina słońce.

A wulkaniczne tchnienie
przyszłych pięciolatek
rozrywa już góry
i metrum naszych wierszy.

Tak z pragnień pokolenia
płynie ze soków jutra
źródlana przyszłość.
Tak z piersi fabryk wychodzi
oddech pracującej ojczyzny.

A z jej mocnych bioder
wyrasta pokój dla dzieci.

Przełożył z czeskiego
Wincenty Jędrkiewicz

Czytajcie
i rozpowszechniajcie
Prasę Radziecką

Dyskusja o kadrach literackich (5)

WALERY OSMENDA

CZEKAMY NA INICJATYWĘ

W ramach dyskusji o kadrach literackich drukujemy artykuł Walerego Osmendy, zastrzegając się, że nie podzielamy stanowiska autora w jego koncepcji kształcenia kadr literackich. Wydaje nam się, że dzisiaj dopływ do literatury będzie szedł przede wszystkim poprzez szeroki nurt szkół, w których młodzież robotniczo - chłopska stanowi już główny trzon. Oczywista, że nie wyklucza to węższych ścieżek samouctwa. Cenne w projekcie Osmendy jest zwrócenie uwagi na potrzebę rozszerzenia bazy pisarskiej, na potrzebę stworzenia w jak najszerszych kręgach na fabrykach i wsiach klimatu dla literatury. Tu kluby mogą odegrać dużą rolę i w podniesieniu kultury literackiej środowiska i w wysiłku wykorzystania swoich własnych możliwości dla ideologicznego mobilizowania towarzyszy pracy do codziennej walki na własnym odcinku w budowaniu podstaw socjalizmu. *Red.*

Realizacja Planu 6-letniego mobilizuje całe nasze społeczeństwo, wszystkie jego siły i wszystkie wartości we wszystkich dziedzinach i na wszystkich odcinkach skomplikowanego życia ekonomicznego i społecznego.

Realizacja ta obejmuje także, jako jedną z ważnych dziedzin naszego życia, naszą literaturę. Na odcinku literatury mobilizacja ta oznacza nieustępliwą walkę o nowe kadry literackie, o kadry robotniczo - chłopskie.

Zapoznawszy się z materiałem dyskusyjnym, drukowanym we „Wsi", stwierdzam — słusznie czy niesłusznie, niech osądzą inni — że dyskusja, jakkolwiek porusza wiele momentów istotnych, toczy się poza zasięgiem tych zdobyczy, które właściwie są zaczątkiem walki o kadry w ogóle, a tym samym i o kadry literackie.

Poważnym niedociągnięciem dyskusji jest niedostrzeżenie roli jaką na tym odcinku odegrały Centralna Rada Związków Zawodowych i Samopomoc Chłopska. Tow. Chęciński omawiając sprawę kadr literackich po prostu sprowadził ją do niesprecyzowanego organizacyjnie poradnictwa i stałego szkolenia, proponując zabezpieczenie awansu wybijającym się młodym twórcom przez drukowanie ich prac w powielaczowych biuletynach, pismach lokalnych, specjalnym almanachu młodych, w prasie literackiej i w końcu dostrzegając, że poczynania te nie stworzą prawdziwych pisarzy proponuje stworzenie instytucji dla debiutantów p n. „Biblioteka Pisarzy Robotniczo - Chłopskich". Przedstawiając zaś swój plan organizacyjny powiada, że: „...opieka nad robotniczymi talentami literackimi powinna być zorganizowana hierarchicznie". I wymienia ogniwa organizacyjne — świetlicowe kluby literacko - dyskusyjne, skąd w drodze awansu (?) przechodziliby początkujący adepci sztuki pisarskiej do klubu terenowego, a stąd przez klub związkowy (?) do Związku Literatów.

Plan ten jest nie przekonywujący i widać, że sam autor ma wiele kłopotu z jego uzasadnieniem.

Walka o nowe kadry prowadzona według tego planu, doprowadziłaby do stworzenia dwojakiej literatury i przez to samo ugruntowałaby tylko pojęcie samouka i niedowarzonego pisarza. Walka o kadry w naszym pojęciu, to walka o pełnowartościowego pisarza i pełnowartościową twórczość literacką. Stworzenie „Biblioteki Pisarzy Robotniczo - Schłopskich" oddałoby niedźwiedzią przysługę tak początkującym pisarzom, jak i samej literaturze.

Zastanówmy się teraz jak dotychczas sprawa kadr literackich wyglądała w rzeczywistości. Chęciński stwierdza, że: „odosobnione próby stałego poradnictwa w tej dziedzinie, jak poradnictwo Oddziału Wiejskiego ZLP, nie odegrały większej roli z powodu nienależytej organizacji i złego kierunku ideologicznego". Jak to poradnictwo wyglądało ilustruje Pogan w dyskusji: „W Śląskim Oddziale Związku Literatów w Katowicach leżał od pół roku gruby brulion wierszy napisanych przez robotnika - półinteligenta z Knurowa. Byłem właśnie w Biurze Związku Literatów, gdy zjawił się właściciel owego brulionu, dopytując się uprzejmie sekretarki biura, „czy jego wiersze zostaną wydrukowane"? Sekretarka uśmiechnęła się pobłażliwie i z politowaniem odpowiadając..."

Te dwa przykłady upoważniają nas do stwierdzenia, że dotychczasowa s p r a w a kadr musi być przekształcona na wytężoną w a l k ę o nowe kadry literackie. Ażeby walkę tę wygrać musimy ją rozpocząć w oparciu o najszerszą bazę społeczną, o związki zawodowe z udziałem Samopomocy Chłopskiej. Słuszność tego postulatu bardzo łatwo jest udowodnić. Mamy już poza sobą odbudowę naszego przemysłu i wykonanie planu 3-letniego. Jesteśmy w trakcie likwidowania analfabetyzmu w kraju. Upowszechniliśmy kulturę w mieście i na wsi przez organizację świetlic robotniczych, bibliotek, teatrów amatorskich. Mamy poza sobą wspaniały konkurs zespołów świetlicowych i festiwal sztuk radzieckich. Mamy, wreszcie, poza sobą zlot korespondentów robotniczych!... Czyto wszystko powstało samo?... Ile energii i zabiegów przez te najcięższe lata w pracy społecznej kosztowało to klasę robotniczą!?...

Dlatego o tym mówię, gdyż w samym łańcuchu wysiłków wszystko musi być powiązane i ściśle ze sobą zespolone. Jeżeli mówimy o kadrach literackich to i to zagadnienie musimy powiązać z masami robotniczo - chłopskimi. Powiązanie to nie może być schematyczne, musi pulsować życiem. Masy robotniczo - chłopskie posiadają dosyć talentów, wystarczy ich na pewno i dla literatury. Że masy posiadają talenty i że starczy ich także dla literatury świadczą amatorskie zespoły świetlicowe i łamy pism.

Teatr amatorski w mieście i na wsi był przed wojną najbardziej nieudolną i zakłamaną sztuką ludową, a mimo to po wyzwoleniu osiągnął tak wysoki poziom, jak obecnie. Czy to nie świadczy o olbrzymim bogactwie talentów w masach ludowych? Dalej. Czy przed wojną robotnik lub chłop brał udział w redagowaniu pism i czy zajmował się twórczością literacką? Otwórzcie dzisiaj którykolwiek dziennik, a bez trudu dostrzeżecie całe mutacje wypełnione korespondencjami z terenu pisanymi przez korespondentów robotniczo - chłopskich.

Także na odcinku literatury jest podobnie. Przykładem tutaj może być znowu „Wieś", której pionierska praca na tym odcinku jest do podkreślenia.

Pomimo bezspornych osiągnięć na tym terenie sprawa kadr musi być rozszerzona na całe masy robotniczo-chłopskie. Tutaj leży istota rzeczy. Zwróćmy uwagę na teatr amatorski. Teatr amatorski powstał w świetlicach zakładowych i w świetlicach wiejskich. Właściwym organizatorem teatru amatorskiego były związki zawodowe a ściślej mówiąc Centralna Rada Związków Zawodowych przy udziale Samopomocy Chłopskiej. Te dwie organizacje masowe inwestowały świetlice i wychowały szeroki aktyw kulturalno-oświatowy, który był duchem i motorem całej działalności świetlic robotniczo - chłopskich. Dzięki czemu związki zawodowe mogły dokonać tak wielkiego dzieła? Dlatego właśnie, że posiadły sztukę mobilizowania mas. To z kolei dowodzi, że związki zawodowe mają pełne zaufanie mas członkowskich i dlatego w walce o kadry literackie koniecznym jest współdziałanie ze związkami zawodowymi.

Pominięcie w dyskusji o kadrach literackich roli związków zawodowych można uważać nie tyle za niedocenianie przez dyskutantów związków zawodowych na tym odcinku ile za nieznajomość problematyki związkowej. Jedynie Pogan do zagadnienia kadr literackich podszedł słuszniej, dochodząc do wniosku, że najniższy szczebel poradnictwa literackiego winny objąć Powiatowe Rady Związków Zawodowych, nad działalnością których czuwałyby Okręgowe Rady Związków Zawodowych.

Bez znajomości problematyki organizacji i osiągnięć najbardziej masowej organizacji, jaką są niewątpliwie związki zawodowe nie sposób rozstrzygnąć właściwie zagadnienia kadr literackich. Łącząc związki zawodowe z walką o kadry literackie warto zauważyć, że zanim sprawa kadr literackich stała się „aktualna" związki zawodowe już dużo na tym odcinku zdziałały. Istnieją Domy Kultury Związków Zawodowych jak np. w Krakowie, które mają zorganizowane dobrze sekcje literackie pod fachowym kierownictwem i których osiągnięcia na tym odcinku są rzeczywiście poważne.

Wielkim osiągnięciem kulturalnym było utworzenie przez CRZZ Wojewódzkich Domów Kultury Związków Zawodowych przy Okręgowych Radach Związków Zawodowych. Był to początek nie tylko umasowienia kultury ale był to przede wszystkim początek budowy potężnej kuźni kadr artystów ludowych. Że tak należy tę sprawę potraktować świadczy o tym praca tychże Domów Kultury Związków Zawodowych. Tutaj właśnie powstało szkolenie w kierunku platycznym, literackim, muzycznym, dziennikarskim, choreograficznym, śpiewaczym, teatru kukiełkowego itp.

Odpowiednikami Wojewódzkich Domów Kultury Zw. Zaw. w powiatach były Międzyzwiązkowe Świetlice Robotnicze przekształcone w większej części w roku bieżącym na Powiatowe Domy Kultury Związków Zawodowych. To przekształcenie najlepiej świadczy jaką rolę mają na terenie powiatów odegrać te placówki. Każda z tych placówek tak na szczeblu wojewódzkim jak i powiatowym, korzysta z poważnych subwencji Centralnej Rady Związków Zawodowych. Organizacyjnie Wojewódzkie Domy Kultury Związków Zawodowych podlegają Okręgowym Radom Związków Zawodowych a Powiatowe Domy Kultury Zw. Zaw. podlegają Powiatowym Radom Zw. Zaw. i są pod ścisłą opieką organizacyjną i techniczną Wydziałów Kulturalno - Oświatowych ORZZ i Wojewódzkich Domów Kultury Zw. Zaw. Każda z tych placówek ma na celu, oprócz umasowienia sztuki, wychowac nowe kadry robotniczo-chłopskie dla kultury i sztuki. Wziąwszy te osiągnięcia pod uwagę należy stwierdzić, że grunt do walki o nowe kadry dla kultury i sztuki a tym samym i literatury jest przygotowany.

Dyskutując i zastanawiając się nad formami walki o nowe kadry literackie byłoby niekonsekwencją nie widzieć i nie doceniać tej potężnej organizacji związkowej na odcinku kultury i sztuki.

Zdaje mi się, że ujęcie walki o nowe kadry literackie w formy organizacyjne może nastąpić tylko przez wspólną pracę CRZZ i ZLP. Zważywszy, że CRZZ właściwie zagadnienie to organizacyjnie prawie że rozwiązała i, że związki zawodowe posiadają wypróbowaną umiejętność mobilizacji mas do każdej walki i na każdym odcinku, chodziłoby tylko o aktywne, przemyślane włączenie się ZLP do tej akcji. I, uważam, że właśnie to włączenie się ZLP do walki o nowe kadry literackie na bazie osiągnięć związków zawodowych winno być przedmiotem dyskusji.

Oparłszy walkę o nowe kadry literackie o dotychczasowe osiągnięcia organizacyjne związków zawodowych, należy wypracować plan współdziałania pomiędzy CRZZ i ZLP w porozumieniu z Ministerstwem Kultury i Sztuki. Plan ten winien przelać całkowitą organizację walki o kadry literackie na CRZZ i wymienione wyżej wojewódzkie i powiatowe Domy Kultury Zw. Zaw. Przy Wojewódzkich Domach Kultury Związków Zawodowych winny powstać kluby literackie, podzielone wewnątrz na poszczególne działy odpowiadające twórczości literackiej, które winny obejmować wszystkich zajmujących się twórczością literacką i literaturą robotników i chłopów z terenu całego województwa. Nad pracą na tym odcinku Wojewódzkich. DKZZ winny objąć opiekę Oddziały ZPL, które równocześnie winny przejąć instruktaż i poradnictwo literackie w Powiatowych Domach Kultury Zw. Zaw., przy których powstałyby sekcje twórczości literackiej. W tym celu przy świetlicach zakładowych i zakładowych domach kultury winny powstać zakładowe koła amatorów-literatów. To byłoby wyobrażenie organizacji z „lotu ptaka", odgórnie. Ta sama organizacja, patrząc oczyma członka zakładowego koła amatorów-literatów wyglądałaby następująco: koło amatorów-literatów organizacyjnie podlegałoby bezpośrednio sekcji twórczości literackiej przy Pow. D.K.Z.Z., a pośrednio klubom literackim przy Woj. D.K.Z.Z. Członkowie koła amatorów-literatów winni redagować zakładową gazetkę ścienną, tworzyć nowele, wiersze itd. związane tematycznie z zakładami pracy, winni organizować zebrania dyskusyjne o problematyce literackiej, na których omawialiby również ważniejsze nowości literackie. Twórczość literacka członków po ocenie kolektywnym koła, w razie przychylnego przyjęcia, winna być przesłana do oceny sekcji twórczości literackiej przy PDKZZ lub za jej pośrednictwem do klubu literackiego przy Wojew. DKZZ, gdzie musiała by być oceniona przez opiekunów z Oddziału ZLP. Zadania sekcji twórczości literackiej przy PDKZZ polegałyby na opiece organizacyjnej nad zakładowymi kołami amatorów-literatów, na organizowaniu wykładów i odczytów z dziedziny literatury czy to w PDKZZ czy też na większych zakładach pracy oraz na utrzymywaniu łączności pomiędzy zakładowymi kołami amatorów-literatów a klubem literackim przy Wojewódzkim DKZZ.

Działalność klubu literackiego przy Wojewódzkim DKZZ, jak wynika z poprzednich założeń, byłaby opiekuńcza i samodzielna. Klub literacki miałby na celu docieranie do kół amatorów-literatów, poradnictwo literackie, obsłużenie wykładów i odczytów z dziedziny literatury PDKZZ lub na większych zakładach pracy, ocenę twórczości członków zakładowych kół amatorów-literatów, kwalifikowanie pozytywnie ocenionych utworów do druku, redagowanie w wojewódzkiej gazecie kącika literackiego przeznaczonego dla członków klubu literackiego przy WDKZZ, informowanie wszystkich członków klubu przez sekcje twórczości literackiej i koła amatorów-literatów o organizowanych konkursach literackich, oraz organizację konkursów literackich. Klub literacki prowadzony byłby przez Oddział ZLP, który byłby odpowiedzialny za jego działalność przed Zarządem Głównym ZLP.

Rola Zarządu Głównego ZLP na tym odcinku sprowadzałaby się do: kontrolowania działalności klubów literackich, wydawania wyłonionych z klubów utworów kwalifikujących się do druku, do wydawania czasopisma literackiego poświęconego młodej twórczości literackiej, wreszcie do ujęcia organizacyjnego konkursów literackich.

Walery Osmeda

LEON POKORA

ZACZĄĆ OD PODSTAW*)

Organizując przed paroma laty „Wieś tworzącą" chciałem ogarnąć łamami pisma samorodne talenty literackie. Jako cel stawiałem obronę każdego z nich, co w rezultacie musiało prowadzić do zamykania ich w prymitywnej formie i często nie dojrzałych treściach ideologicznych. Uleganie tym przeżytkom, zaważyło na losach „Wsi tworzącej" Pozostało mi jednak doświadczenie. Dzisiaj nie można pomijać w planowaniu form kształcenia literackiego zasadniczych instytucji kształcenia zbiorowego: szkolnictwa wszelkiego rodzaju i stopnia, oraz organizacji społecznych, które są szkołą pracy i socjalizmu. Grupa pisarzy debiutujących obecnie, własnym wysiłkiem i w oderwaniu często od tych zasadniczych instytucji szukająca dróg do literatury, jest zjawiskiem przejściowym.

Likwidacja analfabetyzmu i pełna sieć szkół podstawowych skończyły „niemotę" ludzi pracy, zerwały również z typem pisarza ludowego — kompletnego samouka.

Umożliwienie korzystania z nauki w szkołach średnich i wyższych młodzieży robotniczej i chłopskiej pozwala na wkroczenie w nowy etap organizowania bazy pisarskiej. Wprowadzenie robotnika i chłopa do życia literackiego dokonuje się

Wieczór artystyczno-świetlicowy. Widownia

dzisiaj drogą normalną. Tym samym zagadnienie kadr literackich w płaszczyźnie najszerszej rozpoczyna się od roztoczenia opieki nad uzdolnioną młodzieżą szkół średnich i wyższych zapewnienia jej dalszej nauki, jak również pogłębienia jej świadomości społecznej.

Należy utrwalać czynny współudział tej młodzieży w życiu społecznym, ażeby nie uciekać się później do namiastkowych form kształcenia społecznego, w rodzaju wyjazdów literatów w teren. Bez tego przygotowania, bez szkoły pracy społecznej, trudno zostać socjalistycznym pisarzem. Ta świadomość winna przenikać i formować każdego adepta literatury. Jego pisarskim obowiązkiem jest branie najaktywniejszego udziału w pracach ZMP, ZSCh, czy Związków Zawodowych. Kierownictwo organizacji społecznych winno specjalnie czuwać, specjalnie rozbudzać i podsycać pasję społeczną tej utalentowanej młodzieży, winno też być zainteresowane w zepewnieniu jej dalszej nauki. Odnosi się to również do profesorów i władz danej szkoły czy uczelni. Treść społeczna, wypływająca z czynnego udziału ogółu młodzieży w życiu społeczno - szkolnym. W życiu zbiorowym wsi i fabryk zadecyduje o rozbudzeniu talentów. Ale rozbudzenie to mało. Potrzebna jest wiedza i krytyka. Pierwsze przysposobienie do fachu literackiego winna znaleźć młodzież w kółkach literackich, które już dziś w szkołach średnich istnieją choć w niedostatecznej ilości. W zasadzie swej są zespołami dyskusyjnymi, dostępnymi dla ogółu uczniów. Głównym ich bowiem celem jest przysporzenie prasie literackiej uważnych, pogłębionych czytelników. Praca w tych kołach ma zbliżyć młodzież do współczesnej literatury, ma rozpalić zainteresowanie życiem literackim w jego osiągnięciach, błędach i postulatach.

Padło wezwanie do zakładania klubów literackich. Wezwanie słuszne. Kluby literackie są potrzebne, są koniecznością. Możliwość ich powstania istnieje nawet w powiatowych miastach o większym zagęszczeniu szkół. Winny one skupić wyrabiający się już narybek literacki, a nawet młodszych pisarzy zawodowych, o ile mieszkają w zasięgu działalności klubu. Oprócz młodzieży szkolnej winna tam znaleźć się młodzież pracująca w miastach, oraz przodująca młodzież okolicznych wsi.

Należy się spodziewać, że każdy oddział Z.L.P. wsiąłby pobliskie kluby w opiekę. Niezbędnie jednak kluby te muszą wejść w ramy którejś z wielkich organizacji społecznych, jako narzędzie kulturalnego działania. Trzeba bowiem te narastające kadry literackie puścić na szersze wody; sądzę, że z powodzeniem mogą one przedsięwziąć terenową robotę literacką w świetlicach fabrycznych i wiejskich, tam gdzie zawodowy literat w ramach akcji „autor wśród czytelników" dotrzeć nie potrafił. Tym samym, kluby literackie mając kontakt z liczną rzeszą pisarzy samorodnych mogłyby służyć im radą, przeprowadzić selekcję, najzdolniejsze jednostki zdobyć dla siebie i wciągnąć w systematyczne samokształcenie.

Winien też klub podjąć trud organizowania poważniejszych imprez jak wieczory literackie, odczyty publiczne, słowem wziąć odpowiedzialność za życie literackie danego miasta czy miasteczka. Oczywiście, że sprawa kształcenia literackiego wysuwałaby się jak zwykle, na czoło zagadnień. Oprócz dyskusji i wieczorów autorskich, należałoby z pomocą Z. L. P. organizować krótkie kursy prowadzone przez literatów zawodowych.

W ten sposób pomyślane i dobrze rozwinięte kluby rozwinąć by mogły życie literackie na prowincji, o czym dotychczas mowy być nie mogło. Wskazując przykład Meresjewa, pisze Seweryn Skulski:

„Niech talent nie siedzi przy biurku, niech także orze, robi pilnikiem i kopie rudę." Słusznie, doświadczenie jakie daje praca produkcyjna mobilizuje talent, wskazuje mu proste drogi socjalizmu, daje wiedzę o życiu. Ale nie ona jedynie decyduje. Przed rewolucją październikową żaden z sowieckich pisarzy ludowych nie mógł rozwinąć swego talentu, a czasem i pisać nie umiał. Dopiero rozkwit szkolnictwa, zagęszczenie sieci bibliotek, dziesiątki tysięcy klubów fabrycznych i kołchozowych pozwoliło im nabyć wiedzę, w którą uzbrojeni mogli już stanąć do literackiego startu.

Dzięki rozbudowie urządzeń kulturalnych i form zespołowej pracy w ustroju socjalistycznym nawet ten „co orze i kopie rudę" może stać się literatem.

Na wsi w sprawie kadr pisarskich pozostaje do wykorzystania dość zagęszczona sieć świetlicowa. Przy aktywizacji świetlic można się spodziewać, że spełnią one swe zadanie również na odcinku literackim. Każda świetlica lepiej prowadzona i zaopatrzona posiada radioodbiornik, skrypty „Wszechnicy Radiowej", czasopisma, nie wyłączając literackich, oraz zespoły samokształceniowe, artystyczne itp. W zespołach świetlicowych zaczną pojawiać się już pierwsze ślady talentów; rzeczą kierownika świetlicy jest w miarę możliwości pomóc im w samokształceniu i w nawiązaniu kontaktu z klubem literackim o ile taki w mieście istnieje.

Wiemy dzisiaj, że pisarzem może być również np. przodownik pracy, nie myślący dotychczas o piórze, ale z racji nagromadzonych doświadczeń i bogactwa treści odczuwający potrzebę wypowiedzi. Na podstawie doświadczeń sądzić należy, że wkład pracy samokształceniowej pozwoli niektórym jednostkom z tej szarej masy żołnierzy socjalizmu stworzyć wartościowe dzieła literackie. Powstanie stąd literatura ludowa o nowej treści, surowa, gatunkowo mało zróżniczkowana (opis, opowieść, pamiętnik), ale posiadająca wartość przez swą źródłowość, dokumentaryzm, i bystrość klasowego wejrzenia. Rzekłem już, że świetlica może tylko częściowo przygotować do literackiego debiutu; potrzebne są centralnie pomyślane formy. Jeżeli mówimy o poradni literackiej ma ona istotnie sens istnienia właśnie przez wzgląd na talenty samorodne, talenty ze świetlic. Również projektowana przez Chęcińskiego „Biblioteka pisarzy robotniczych i chłopskich" nie musiałaby nieuchronnie, jak to twierdzi J. Marszałek być „zbiorem pozycji wyróżniających się wyjątkowo niekorzystnie". Nie sądzę ażeby istniejąca już „biblioteka przodowników pracy", dawała rzeczy niepotrzebne i bezwartościowe, choćby jako materiał źródłowy dla naszej literatury. „Biblioteka" taka musiałaby działać w połączeniu z poradnią literacką i kontakcie z organizacjami prowadzącymi świetlicę, oraz przygotowana być na to, że w pierwszej fazie większość materiału będzie wymagać obróbki literackiej.

Leon Pokora

***) W dyskusji o kadrach literackich zabierali poprzednio głos: B. Chęciński, R. Jędraszczyk, J. Pogan, J. Waczyński, J. Marszałek, S. Skulski, K. Skrzydliński, J. Ziemba.**

WALKA O KADRY

(dokończenie ze str. 3-ej)

ności społecznej i racjonalnego wykorzystania sił fachowych.

Dalszą jakże wielką trudność racjonalnego werbunku stanowi tradycyjny wpływ ojca na wybór zawodu naszego kandydata.

Jeszcze dziś wystarczy przeprowadzić rozmowę z kończącymi gimnazjum, aby przekonać się o istnieniu w wielu wypadkach niezdecydowania i rozterki co do wyboru przyszłego zawodu. Typowa dla kapitalizmu niepewność jutra wytworzyła głęboko zakorzeniony lęk przed przyszłością, pchając nielicznych z rangą maturzysty w kierunku najrentowniejszego zdyskontowania nabytej wiedzy. Te często przetrwałe kalkulacje łamią nie jeden talent, tamują źródła nowych, wspaniałych osiągnięć naukowych. Nie jest odosobniony fakt, że np. Tadeusz M. z kieleckiej wsi dlatego poszedł na medycynę — wbrew swym uzdolnieniom technicznym, by zaspokoić długo pielęgnowane dążenia rodziców. Wpływ rodziców zadecydował o kierunku studiów tego chłopca. Czy lekarze są nam potrzebni? Tak. Czy wszystko jest jednak w porządku? Nie. Powaga ojca w istniejącej tradycyjnej strukturze rodziny nie może być wykorzystywana do decydowania o losach syna. Hodowanie dzieci na smyczy jak to kapitalnie określił Bałucki — wypuszczanie ich jak koni do biegu — byle wyżej i byle dalej — ten typ selekcji młodzieży, ta droga wyboru zawodu musi być w zupełności zastąpiona przez planową, zgodną z potrzebami rozwijającego się narodu akcją kierowania młodych sił na Wyższe Uczelnie.

Swoista dążność do uzyskania uznania dla „rodu" musi być zastąpiona właściwym rozumieniem potrzeb społecznych i uzdolnień kandydata. Karasek wie dlaczego chce zostać inżynierem — idzie na wieś epoka maszyn.

Równocześnie do studiów wyższych przygotowują się absolwent wielkomiejskiej i prowincjonalnej szkoły średniej. Porachunki ze szkolnictwem średnim nasuwają m. in. i ten wniosek, że nie wszystkie terenowe 11-latki potrafiły dotąd osiągnąć poziom szkół miejskich. Sprawdzianem były chociażby kursy przygotowawcze. Znamiennym faktem jest, że tam gdzie budownictwo socjalistyczne szczyci się większymi osiągnięciami tam i szkoła średnia umie szybciej osiągnąć należyty poziom. Istniejąca konfiguracja musi ulec radykalnej poprawie. Żadna szkoła, a tam bardziej średnia nie może wlec się za terenowymi osiągnięciami produkcyjnymi. Szkoła — przeciwnie — musi być pomocą w budownictwie socjalistycznym, musi promieniować właściwie pojętą, wysoko postawioną nauką.

Wysoki odsiew na pierwszych latach studiów jest zjawiskiem ściśle łączącym się z nieregularnością poziomu szkół średnich. I tę trudność musimy bardzo szybko rozwiązać. Terenowe szkoły średnie muszą stanowić pełnowartościowe zaplecze szkolnictwa wyższego.

✣

W czasie jednej z przerw toczyła się żywa dyskusja w grupie przyszłych mechaników na temat dyscypliny pracy. Jacek twierdził, że trzeba ją relatywnie stosować, gdyż przede wszystkim zdolności decydują o wynikach. Przysłuchujący się ze spokojem Woźniak stanął w pewnej chwili na krześle i zacisnąwszy ręce w pięść powiedział mocnym głosem: „Żyjemy w epoce planu 6-letniego, jest on naszym celem, a osiągnąć ten cel będziemy mogli przez maksymalne zabezpieczenie się od marnotrawstwa czasu, przez maksymalne wykorzystanie wszystkich umiejętności nie tylko tych, na które nie mieli wpływu korepetytorzy".

Zarówno Henryk jak i Jacek zostali przyjęci na Wyższą Uczelnię, wmieszali się w różnorodny tłum studentów, ale nie stopili się w jedną grupę. Dobrze przygotowany Janek będzie chciał stworzyć Z.S.N. z samych „mocnych"; będzie mówił o wrodzonych zdolnościach jako zasadzie wiązania się w Zespoły Samokształcenia w Nauce. Henryk będzie długo borykał się z trudnościami. Do zdobycia przodownictwa w nauce czeka go długa i mozolna praca. Ale on nie będzie zwolennikiem elitarnych, „lepszych" i „gorszych" Z.S.N.-ów. Henryk stawia na pierwszym miejscu wielkie zadania społeczne stojące przed Z.M.P.-owską młodzieżą.

Pokazani Z.M.P.-wcy różnią się nie tylko ubiorem. Ich wyposażenie różni się głównie dojrzałością polityczną, świadomością będącą odbiciem pochodzenia klasowego.

W rozgrywającej się bitwie o plan 6-letni liczymy na Woźniaków i Karasków. Na nich musimy się oprzeć, do nich dotrzeć, tak prowadzić rekrutację, by w następnych latach każde miejsce wypoczętych wakacjami ławek zajęte było przez synów ludu pracującego.

Kazimierz Urbański

W UNINIE

DLACZEGO NIE MA ŚWIETLICY?

Sprawa świetlicy w Uninie nabrała rozmachu w październiku 1948 r. gdy powstało koło ZMP. Najtrudniej było z wyszukaniem lokalu. Ostatecznie postanowiono urządzić w szkole podstawowej w jednej z sal. Tam też w listopadzie świetlica już była, ale nie miał kto pokierować pracą. Praca świetlicy początkowo poszła drogą czytelnictwa wśród młodzieży i starszych. Założono bibliotekę. Zarząd sprowadził 50 książek z powiatowej biblioteki w Garwolinie, oraz zaprenumerowano pisma młodzieżowe „Nowa Wieś", „Pokolenie", „Miesięcznik Instrukcyjny", „Nasze Koło pracuje", ja przyniosłem kupowaną „Wieś", „Dziennik Ludowy" i „Zielony Sztandar". Zetempowcy wypożyczali książki, czytali gazety i słuchali radia. Był to duży krok naprzód, bo trzeba wiedzieć, że do tego czasu mało który zetempowiec brał się do czytania. Świetlicą kierował zarząd koła zachęcając młodzież niezorganizowaną, by przychodziła do szkoły wieczorem posłuchać radia lub poczytać książkę. Jeden i drugi zajrzał niekiedy zobaczyć „co się święci" i później przychodził już często. Kupiono gry świetlicowe i zbiór piosenek ludowych. To ściągnęło więcej młodzieży i starszych. Jedna sala była za mała, ze śpiewami i graniem przeniesiono się do drugiej sali. Uczono się śpiewać piosenek ludowych, ale bez nut, nie na głosy, bo nie było komu poprowadzić. Tak samo było później z tańcami ludowymi. Wszystko to szło trochę bez ładu i składu,bo nie było instruktora. Sami sobie jakoś radzili. Szło im nie bardzo ale wesoło. Zawsze było pełno śpiewu i śmiechu. Niekiedy cały wieczór przeszedł na grach towarzyskich, zabawach, lub na tańcowaniu przy dużym głośniku świetlicowym, zakupionym przez kierownictwo szkoły. O świetlicy dużo na wsi mówiono. Niekiedy nawet starsi zaglądali tu zobaczyć, jak bawi się młodzież i zaczynali sami czytać książki. Szło coraz lepiej pomimo, że nikt nie miał odpowiedniego przygotowania do prowadzenia świetlicy; wskazówki czerpano tylko z miesięcznika „Świetlica" i innych gazet. W styczniu na początku 1949 r. młodzież podzielono na zespoły: śpiewaczy, tańca, samokształcenia i utworzono nowy zespół teatralny, ucząc się nowych krótkich komedyjek. Na jesieni 1949 r. zgodnie z uchwałą, która głosiła, że wszystkie świetlice przejmuje ZSCh świetlica w Uninie miała też przejść pod ZSCh. Nareszcie sprawą zainteresowali się starsi. Zainteresowało się koło ZSL, pobudzone przez pow. Zarząd ZSL-u i koło ZSCh. Wybrano nowy zarząd świetlicy. Na świetlicę upatrzono dawno już pusty lokal w mleczarni. ZMP-owcy postanowili zaopatrzyć go w ławki, szafy i stoły. Koło ZSL-u miało dać materiał na wyposażenie świetlicy, dokupić nowych książek, zaprenumerować gazety. Książek już było około 200 sztuk. bo Pow. Zarz. ZSCH w Garwolinie na wiosnę, darmo ofiarował 100 książek świetlicy. Nowa świetlica miała być gotowa na dzień Zjednoczenia Stronnictw Ludowych. Zobowiązało się nawet do tego koło SL jako czyn przedkongresowy. Ale tu zaczęły się mnożyć trudności. Napisano podanie do Gminnego Zarządu Spółdzielni ZSCH w Górznie o pozwolenie na korzystanie z pustego lokalu na świetlicę. Podanie załatwiono odmownie. Młodzi nie dawali za wygraną. Dlaczego nie chcą dać tego pustego lokalu? Powiedziano nam że ponieważ w tym budynku jest sklep spółdzielczy a pusty lokal jest nad tym sklepem i wchodzić trzeba korytarzem, którym jednocześnie wchodzi się do sklepu spółdzielni a że sklep musi być zamknięty z całą mleczarnią od godziny 20-ej, to nie dadzą, bo może ktoś „obrabować" sklep. A przecież kiedy tam mieszkał szewc, drzwi mleczarni były otwarte do 24-ej, a nawet i później, przecież mieszka tam kier. ob. Baran Jan, który też zawsze wychodzi tymi drzwiami i myśmy sprawdzili, że drzwi były nieraz otwarte do późna w nocy, i nikt nie okradł sklepu. Na nic były kilkakrotne prośby młodzieży. Kiedy udano się do Garwolina do Pow. Zarz. ZSCH by pomógł, obiecano, że w krótkim czasie to wszystko załatwią. Zaraz dano arkusze rejestracyjne, by zarejestrować świetlicę. Świetlica została zarejestrowana, ale jeszcze do tej pory jej nie ma, bo nikt nie chce dać lokalu. Na świetlicę przychodzą gazety, pisma chołpskie. Jest dużo książek, których nie ma gdzie trzymać. Były jeszcze wysiłki młodych kolegów ZMP-owców, ale koło ZSCh i ZSL-u nie chce pomóc, choć zwracano się do nich o pomoc. Tak samo nie chcą pomóc ani OSP, ani sołtys, Zarząd Spółdzielni Mleczarskiej, ani też kierownictwo szkoły powszechnej. Młodzież i starsi zaczynają z powrotem grać w karty, pijać wódkę i włóczyć się po wsi wieczorami. Pisma i książki leżą nie czytane. Dlaczego Zarząd Pow. ZSCh w Garwolinie przestał się interesować świetlicą w Uninie. Dlaczego nic nie zaradzi, nie pomoże. Tak tego nie można zostawić!

Stanisław Mikulski

ANIELA DASZEWSKA

JANEK PODSIADŁO

Kiedy myślę o młodzieżowych przodownikach Nowej Huty, staje mi przed oczyma grupa młodych betoniarzy z brygady ZMP-owskiej, a wśród nich osiemnastoletni, drobny chłopak, obsypany grubą warstwą cementowego pyłu. Stara, „cywilna" cyklistówka z podpartym daszkiem przysypana była również cementem, mimo, że właściciel poprawiał ją co chwila i zawadiacko przesuwał na bok.

Zakurzona twarz rozjaśniła się uśmiechem. Niewielkie, brązowe oczy błysnęły wesołością.

— Czarny jestem, ale się zaraz umyję i będę biały...

Chłopiec ten staje mi żywo przed oczami, gdy myślę o młodzieżowych przodownikach pracy Nowej Huty. Wszystko jedno jak się nazywał. To nie jest najważniejsze, że był to Janek Podsiadło ze Skarżyska — to był jeden z wielu — to był przodownik. Jeden z tych, którzy codzień najuczciwiej i najsumienniej starają się pracować i spełniać swoje obowiązki zetempowca, członka Ochotniczych Brygad w Nowej Hucie. To są ci żołnierze, bez których nie ma zwycięstwa.

Sześciu kolegów z brygad młodzieżowych, szczególnie wyróżniających się w pracy otrzymało w dniu święta dwudziestego drugiego lipca Krzyże Zasługi. Janek i jego koledzy wiedzą, że i ich może kiedyś spotkać zaszczytne odznaczenie, ale: „Na froncie walczy cały pułk, — mówią chłopcy — walczą wszyscy żołnierze, a krzyże otrzymują tylko niektórzy, najlepsi". Do takich dzielnych, szarych żołnierzy budowy należy Janek Podsiadło wraz ze swoją grupą betoniarzy, która przodowała w brygadzie i przez trzy już tygodnie z rzędu nie oddawała zdobytego proporczyka przechodniego.

Janek i jego koledzy oczywiście nie uważają się za bohaterów, choć codziennie ponoszą wiele trudów i poświęceń, aby dobrze spełnić swoje bojowe zadania na budowie, przy taczkach, łopacie czy kielni.

Janek Podsiadło, uśmiechając się ze szczerym zadowoleniem, mówił o tych sprawach prosto:

— Ano tak. Dziś w sześciu załadowaliśmy i znieśli na budowę czterysta pięćdziesiąt metrów cementu. I przywieźliśmy jeszcze kolegom na drugą budowę trzy razy po sześć nadproży, bo nie mieliby co robić, i osiem taczek... Ee! co to dla nas!...

— My do pracy, to „twardzi" — dogadują koledzy.

— Ja to już pracuję od maleńkości — mówił Janek, — nie pamiętam, kiedy było inaczej, bo zaraz jak tatuś umarł zacząłem sprzedawać gazety — miałem wtedy siedem lat. A potem to się szło do ciężkiej pracy. U nas w domu, było czworo dzieci młodszych ode mnie, tom im musiał dać utrzymanie. Ostatnio nawet nieźle zarabiałem przy wyładowywaniu wagonów z nawozem sztucznym. Na akord robiłem. Po piętnaście złotych miałem od metra. Jak wyładowaliśmy w siedmiu trzy wagony „piętnastki", to jak przyszedłem do domu plecy miałem czerwone jak rak i trudno mi się było ruszyć.

— No, a rano? Rano... — tu zaśmiał się. — Rano! człowiek zjadł i znowu poszedł do roboty. Zeszłe lato tom całe robił przy budowie szpitala w Skarżysku. I dobrze się zarobiło nawet i matce pomogłem...

Chłopak zastanowił się chwilę, jakby chciał powiedzieć o czymś innym, nowym. — No, ale dla państwa też trzeba coś zrobić... — rzekł nagle, — no nie?

Tak więc Janek Podsiadło przyszedł na Nową Hutę pracować dla państwa.

— Dla Państwa Ludowego — mówi — bo to na przykład widzicie — miałem tylko jedną klasę to wtedy i mnie państwo znalazło. Wzięli mnie na kurs dla dorosłych, żebym skończył sześć klas. Sama nauczycielka po mnie przychodziła!

No, i pomagali mi, dali stypendium, to na książki, to na życie, żebym czas znalazł na naukę.

— Tak też myślę, że i dla państwa coś trzeba zrobić... Jak tylko posłyszałem w naszym kole ZMP o Nowej Hucia — pojadę, myślę sobie — pojadę! Rok tam pobędę, porobię, to i fachu się „wyuczę", i pracę stałą dostanę a potem matce pomogę i dzieciom młodszym utrzymanie dam... No, i mnie dobrze będzie!... — mówi z niezachwianą pewnością i nadzieją.

— A chęć do pracy to ja mam!— A najwięcej to chciałbym się uczyć na murarza. Bo murarz zawsze i pracę znajdzie i budować będzie domy... Ale na razie z betoniarzami robię i przy transporcie i przy takich różnych robotach, bo wszystko trzeba zrobić i przygotować, a wszyscy tak od razu nie mogą się szkolić w zawodzie murarskim. Ale i na mnie przyjdzie kolej...

— Pewno, że przyjdzie! — przytakują koledzy — Podsiadło ma dobrą głowę i chęć do nauki, to się jeszcze i czegoś więcej wyuczy... Często nawet w naszej grupie ma prasówki... — chwalą Janka koledzy, a on uśmiecha się szarą od pyłu twarzą.

Aniela Daszewska

JÓZEF BIENIEK

BARDZO DALEKIE I WCIĄŻ BLISKIE

Sześć opowiadań *Władysława Kowalskiego, zawartych w* tomie *„Dalekie i bliskie"* — to sześć krwią najszczerszą pisanych dokumentów *chłopskiego wczoraj,* to sześć aktów dramatu, utkanego z żywiołowym rozmachem, rzadko spotykaną pasją i bezpośrednią ścisłością ze spraw, które już odeszły daleko, i z takich, które wciąż jeszcze tkwią w nas i koło nas. Historie, jakie są treścią tej książki, to z perspektywy zaszłych wypadków historie bardzo odległe — a przecież wciąż żywe i bliskie. Bo walka, której początkiem był „Bunt Starego Łęku" — toczy się nadal.

Ale rozwój wypadków, jakie potoczyły się na przestrzeni Starego Łęku i całej Polski, wskazuje na to, że „bój to będzie ostatni".

Rok temu w jednej z okolicznych wiosek czterdziestomorgowy bogacz pobił do krwi służącą. Leżała dwa tygodnie w stajni na wyrku, bez żadnej opieki, a gdy wyzdrowiała, zaczęła znów, bezwolna istota, pomnażać kułacką kiesę. Jej ojciec, jednomorgowy „dziad", jak ów Kłos z książki Kowalskiego, dorabiał na życie... psami. Po prostu kradł je gdzie się dało, zabijał, wytapiał tłuszcz i sprzedawał tym, którzy wciąż mimo penicylin i streptomecyn, wierzą w cudowną moc psiego smalcu.

Na wieść o pobiciu córki wściekł się stary Skowyra bardzo i nawet strasznie klął. Ale więcej nic. Winien był bogaczowi parę tysięcy i jakiś korzec kartofli pożyczonych na przednówku. To mu wiązało ręce. Ale Skowyra nie skończył jak Kłos. Od maja br. pracuje w Nowej Hucie. W czerwcu zabrał ze służby u innego kmiecia swego syna i zarabiają obydwaj.

Historia z pobiciem Skowyrowej dziewczyny, która jednak służyła nadal, znów się onegdaj powtórzyła. Ale teraz wyzwolony biedak zareagował jak należy. Dziewczynę z brudnej stajni zabrała karetka pogotowia do szpitala, a gazdę inna „karetka" do... więzienia.

*

Wioska P. słynęła z dawien dawna jako „dziadownia". 80 proc. gospodarstw to liczy tam niżej 3 mórg, a 70 proc. rodzin wyżej 6 osób. Osiedle to stanowiło przez dziesiątki lat niewyczerpany rezerwuar sił najemnych. Stąd wędrowało rok rocznie po kilkadziesiąt osób na swoistą *bandoskę* — jako pastuchy, parobki, dziewki i... mamki. Jeszcze w dwa lata po ostatniej wojnie, gdzie bogacz nie znalazł służącego to nie znalazł, ale w P. zawsze!

Dziś 60 osób z tej wioski pracuje w fabrykach i kopalniach na ziemiach odzyskanych, kilkoro uczy się w szkołach średnich i wyższych, a dla reszty szykują drogę wyjścia z kręgu poniewierki i niedoli postanowienia planu sześcioletniego.

*

Janek R. — porucznik WOP, syn dwumorgowego chłopa, zaczął jak i Janek Osinka z Pokutówki („Dalekie i Bliskie") karierę u szewca. Zaczął w roku 1945. Od skrobania ziemniaków, bawienia dzieci i pełnienia najpodlejszych kuchennych usług pod fachowym kierownictwem pani majstrowej. Za ciężką pracę otrzymywał skąpe wyżywienie, a na deser bogate cięgi. Na odmianę — raz od majstra, to znów od majstrowej. Aż się raz chłopak wściekł, grzmotnął majstra w łysy łeb stołkiem, majstrową zdzielił kopytem, a majstrzęta przegnał pociągiem — i wio.

Ale nie do wsi. Na ulicy natknął się na afisz wzywający ochotników do służby w KBW. Poszedł — przyjęli z miejsca. A gdy rok temu wrócił w mundurze porucznika nikt go we wsi nie poznał.

Rodzinna wioska Janka R. leży na pograniczu. Obok niej znajduje się placówka WOP-u, do której Janek ostatnio doostał przydział jako dowódca odcinka.

Ale Janek nie chce być, jak tamten z Pokutówki, pankiem, ani panem. Nauczony innych poglądów na wartość ludzką — chce być człowiekiem. W wolnych od służby chwilach zrzuca mundur i pomaga ludziom w pracy na roli, organizując poza tym życie kulturalne, społeczne i polityczne.

Pomaga jeszcze inaczej. Oto po jego przybyciu w te strony około dwudziestu chłopców opuściło przeludnioną wieś — udając się do szkół i fabryk.

*

Sześć prawdziwych opowiadań Kowalskiego — to żywy, najszczerszą krwią pulsujący, obraz szarpania się biedniackiej klasy w żelaznym uścisku krzywdzącego ustroju. Klasy osaczonej mackami bogaczów, żyjącej w ponurym kręgu bezustannej niedoli, okraszanej z rzadka upadlającymi skwarkami kułaczej łaski, za którą zresztą zwyczajnie krył się podstęp i wyzysk.

*

Dlatego książkę warto przeczytać. Mimo pewnego oddalenia w czasie opisanych wydarzeń — jest wciąż aktualną, uczy właściwego spojrzenia na problemy klasowe, na nurty, którymi płynęło ku naszym czasom nowe, na sprawy, których treść kształtuje i kształtować będzie dziś i jutro ludowej ojczyzny.

Józef Bieniek

BĘDĄ PRZODOWNICY

Czytałem niektóre tomiki Biblioteki Przodowników Pracy, szczególnie te, które opowiadają o przodownikach pracy na wsi. I zaraz zadałem sobie pytanie — a u nas? Wieś nasza nie leży przecież na odludziu, jesteśmy połączeni szosą z Garwolinem, Warszawa niedaleko, wieś jest zradiofonizowana, 78 głośników. Sąsiedztwo miast i fabryk powinno sprzyjać rozwojowi form pracy socjalistycznej o jakich opowiadają autorzy Biblioteki Przodowników Pracy.

Zadałem sobie pytanie dlaczego u nas jest gorzej. Zacząłem się tedy zastanawiać jaka jest przyczyna, że życie mojej wsi — Unina, płynie tak wolno i po staremu.

No, ale dość wyjść na nasze pola. Wszystkie pola są długie i wąskie. Każde oddzielone od drugiego miedzą, lub drogą polną. Droga polna ma metr szerokości, a miedza 40 cm. Szerokość pól gospodarzy waha się od 5 m. do 30 m., długości do 3 km. Można uprawiać nawet pszenicę, buraki cukrowe. Przy lepszej uprawie można by plony zwiększyć dwukrotnie. Zwłaszcza przy zastosowaniu maszyn. Ale maszyn nie można stosować z powodu wąskich działek, dużej ilości polnych dróg i miedz. Przy miedzach i drogach urodzaje są gorsze, bydło niszczy zasiewy.

Powtórzę rozmowy, jakie chłopi prowadzą na temat naszych pól. Ob. E. Zadrożny tak charakteryzuje naszą wieś: „W naszej wsi jest stara forma gospodarowania, nikt nie uprawia swojej ziemi maszynami. Trzeba abyśmy zaczęli pracować nimi". Na to odpowiada mu ob. Wielgosz: „No i co z tego jak ja będę chciał orać traktorem? To tylko raz przeorzę swój zagon i zawracać muszę po polu sąsiada. Gdzie tu sens? Wszyscy wiedzą, że są maszyny, którymi usprawnia się roboty, ale nie można ich zastosować".

Można by wobec tego zadać pytanie: jak w takich warunkach możliwe jest współzawodnictwo pracy, zastosowanie nowych form gospodarki? Gdyby zakończyć sprawę na pytaniu to oczywiście nie posunęlibyśmy się naprzód. I w tym miejscu odpowiedziałem sobie na pytanie postawione na początku. A u nas? Czy są przodownicy pracy?

Nie ma i są. Nie ma takich o jakich mówi Biblioteka Przodowników Pracy. Ale i są. To ci, którzy nie chcą zgodzić się na istniejące warunki. Można ich nazwać przodownikami społecznymi. Jakie wnioski wyciąga ob. Zadrożny z oceny gospodarczej naszej wsi? Oczywiście we wsi długo wrzało i toczyła się walka zanim można było postawić sprawę tak, jak ją postawił Zadrożny.

Zadrożny powiedział: „zamiast narzekać, zróbmy inaczej. Zaczynamy realizować nasz wielki Plan Sześcioletni w całym kraju. Otóż my też realizując Plan 6-letni na samym początku tego planu założymy u siebie spółdzielnię produkcyjną. Wtedy znikną miedze i drogi polne i śmiało możemy i będziemy robić maszynami rolniczymi".

Kilku godziło się z tym co mówił Zadrożny. Inni oglądali się nie wiedząc czy zgodzić się i czekali ilu będzie zgodnych. a ilu będzie przeciwnych. Jeszcze inni otwarcie występowali przeciwko temu. Byli to najbogatsi.

Chłopi jednak nie pójdą za najbogatszymi. Słysząc przez radio o Planie 6-letnim jakie on zmiany wprowadzi — chłopi dużo sobie obiecują po tym Planie. Że będą mieli światło elektryczne już w 1951 r., że powstanie Dom Ludowy ze świetlicą i kinem, że przez wieś będzie biegła lepsza droga, zamiast bruku z „kocimi łbami" — szosa lub kostka, że zawsze będą jeździły samochody pasażerskie do Garwolina, albo od razu na Warszawę.

„Będą mieli". Zdajemy sobie sprawę, że nie można czekać na dary. Trzeba samemu pracować. Dlatego już w tym roku chłopi Unina przystąpili do planowych zasiewów w myśl Planu Sześcioletniego. Na ogólną ilość 354 ha ziemi ornej zaplanowane zostało: 155 ha pod zboże ozime, 125 ha żyta, 26 ha pszenicy, 1 ha jęczmień ozimy, 0,5 ha rzepak i rzepik ozimy, 0,5 ha innych. Na zasiew jesienny przeznaczono 150 ha w tym 110 ha pod kartofle. 35 ha jęczmień jary, 30 ha owies jary, 2 ha pszenica jara. 8 ha podplony, 2,5 ha len, 2,5 ha buraki. Ten plan został ułożony przez Gminną Radę Narodową. Na zebraniu gromadzkim 15.VIII.50 r. plan wywołał szeroką dyskusję. Odzywały się głosy, że za mało jest zaplanowane na uprawę owsa i jęczmienia, która powinna być co najmniej większa dwukrotnie lub trzykrotnie. Tak samo za mało jest zaplanowana trzoda chlewna. Na 140 gospodarzy plan kontraktacji trzody chlewnej na rok 1951 przewiduje 300 sztuk. Chłopi ostro sprzeciwili się temu, że to jest stanowczo za mało, że oni mogą dostarczyć 700 sztuk.

Czy więc w Uninie nie będzie przodowników pracy? Będą. Właśnie ci, którzy na progu Planu Sześcioletniego zobowiązywali się przekroczyć swoje normy produkcyjne i hodowlane.

Stanisław Mikulski

Książki KUK

TEODOR TOMASZ JEŻ: „NARZECZONA HARAMBASZY".

Trudno znaleźć w naszej literaturze dziewiętnastowiecznej pisarza, który przechodziłby tak burzliwe koleje losu, jak Teodor Tomasz Jeż (właściwe nazwisko Zygmunt Miłkowski), demokratyczny działacz polityczny, bojownik Wiosny Ludów, emisariusz Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, emigrant tułający się między Londynem (gdzie jest posługaczem w „fabryce tapetów") a Konstantynopolem (gdzie prowadzi kuchnię dla uchodźców politycznych).

W powieściach swych wyraża poglądy radykalnego odłamu drobnej szlachty, występuje przeciwko konserwatyzmowi szlacheckiemu i uciskaniu chłopa pańszczyźnianego, jest orędownikiem wolności i walk narodowo-wyzwoleńczych.

Powieść „Narzeczona Harambaszy" przedstawia stosunki panujące w Serbii, uciskanej przez feudalizm turecki w końcu 18-go wieku, pokazuje patriotyzm i bohaterstwo Serbów, walczących o niepodległość ojczyzny.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI: „STARA BAŚŃ".

Józef Ignacy Kraszewski (1812—1887) — jeden z najbardziej zasłużonych twórców naszej literatury klasycznej, zdumiewać będzie zawsze objętością swojej spuścizny literackiej i rozległością działalności kulturowej — był powieściopisarzem, dramaturgiem, redaktorem wielu pism, cenionym publicystą, recenzentem i krytykiem, zajmował się czynną działalnością społeczną i pracą naukową z dziedziny filozofii, historii, oświaty i językoznawstwa.

Dzięki walorom literackim, bogactwu tematyki i prostocie stylu Kraszewski stał się pierwszym polskim pisarzem ogólnonarodowym — jego książki dotarły do najniższych warstw społeczeństwa, jego powieści historyczne — w których celował — stały się najpopularniejszym źródłem znajomości historii Polski.

Oddając jedną z najlepszych powieści Kraszewskiego „Stara Baśń" w ręce masowo czytelnika, KUK pragnie zapoznać go ze stosunkami społeczno politycznymi i obyczajowymi Słowian Zachodnich w IX wieku. W miarę przybywania i ulepszania narzędzi pracy rozpoczyna się gromadzenie środków utrzymania, wskutek czego ród, żyjący dotąd w pierwotnej wspólnocie dzieli się na na bogatszych i uboższych. Możni (kneziowie, książęta) usiłują podporządkować sobie uboższych (kmieci, lud). W ten sposób narodziła się walka klasowa. To przejście od pierwotnej wspólnoty do zaczątków feudalizmu i pierwsze konflikty klasowe (walka knezia Pepełka z kmieciami) odczytamy właśnie ze „Starej Baśni".

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI: „STAROSTA WARSZAWSKI".

W powieści „Starosta warszawski" w plastycznie odtworzonych typach szlachty w żywych obrazach obyczajowych i politycznych stają przed nami czasy saskie — okres największego rozprzężenia politycznego i moralnego dawnej rzeczpospolitej szlacheckiej w XVIII wieku. Upadła władza królewska, straciły znaczenie instytucje i urządzenia państwowe. Kraj rozdzierają kłótnie magnatów, dopuszczających się bezkarnie wszelkich zbrodni i nadużyć, jakie wylęgnąć się mogą w stęchłej atmosferze zapóźnionego feudalizmu.

Biorąc do ręki tę książkę nie powinniśmy jednak zapominać, że Kraszewski choć na swe czasy był niewątpliwie pisarzem postępowym, nie potrafi jeszcze zrozumieć wewnętrznego mechanizmu dziejów i dać pełny obraz epoki. Jego krytyka nie wychodzi poza interesy klasowe drobnej szlachty, której ideologię reprezentuje. Potrafi dostrzec krzywdę małego szlachetki (Godziemby) wyrządzoną mu przez magnata (wojewodę Potockiego), nie zwraca natomiast uwagi na podstawowe konflikty społeczne tamtych czasów: upośledzenie mieszczaństwa i bezmiar krzywdy ludu poddanego najokrutniejszemu wyzyskowi feudalizmu.

ELIZA ORZESZKOWA: „DZIURDZIOWIE".

Powieść Orzeszkowej „Dziurdziowie" jest jednym z pierwszych utworów w naszej literaturze, gdzie przedstawione zostało w sposób krytyczny życie wsi popańszczyźnianej w końcu XIX wieku. W dziejach zbrodni Dziurdziów, których ciemnota i zabobon pcha do morderstwa niewinnej kobiety posądzonej o czary, widzimy tragizm trzymanej zdala od kultury przez carat i kapitalizm wsi ówczesnej.

Aczkolwiek autorka nie podaje istotnych przyczyn zła, którego ofiarą padają zarówno zamordowana Pietrusia jak i Dziurdziowie, czytelnik dzisiejszy słusznie postawi na ławie oskarżonych nie fizycznych morderców, lecz system społeczny.

Interesującym tematem do dyskusji świetlicowej nad tą książką będzie porównanie strasznego obrazu przeszłości, jakim jest sprawa Dziurdziów z współczesną wsią, dla której socjalizm staje się dźwignią kultury i dobrobytu.

JAN WIKTOR: „ORKA NA UGORZE".

Obraz przedwojennej wsi polskiej w ciężkim okresie kryzysu lat trzydziestych oraz problemy ówczesnego szkolnictwa wiejskiego, znajdzie czytelnik w powieści Jana Wiktora p.t. „Orka na ugorze". Niestety, na obrazie tym zaciążyły w sposób wyraźny braki charakterystyczne dla pisarza, tworzącego bez busoli marksizmu—leninizmu. Autor widzi nędze wsi przedwojennej więcej, w postaci Bieła obala kapitalistyczny mit o możliwości wydźwignięcia się z nędzy chłopa biedniaka, choćby „ręce urobił po łokcie", nie dostrzega jednak klasowych przyczyn tej nędzy, nie pokazuje prawdziwych dróg wiodących do poprawy bytu pracującej wsi. Z „autoryzowanych" wypowiedzi takich postaci jak nauczycielka i Tomala wynika, że autor uważa za możliwe rozwiązanie problemu wsi w ustroju kapitalistycznym, w drodze reform, podnoszenia oświaty i moralności, a rewolucję socjalistyczną przyjmuje dopiero jako ostatnią i niezbyt pożądaną ewentualność.

Krytyka ideologiczna książki Wiktora i porównanie jej z „Ziemią w jarzmie" Wandy Wasilewskiej stanowi cenny temat do dyskusji świetlicowej.

KSIĄŻKI NADESŁANE

„KSIĄŻKA I WIEDZA"

Broszkiewicz Jerzy — Oczekiwanie, str. 296, **France Anatol** — Gospoda pod królową gęsią nóżką str. 262, **Kobiety radzieckie** str. 285, **Julian Marchlewski** — str. 152, **Mickiewicz A.** — Zbiór listów i wierszy str. 277, **Próchnik Adam** — Bohaterowie proletariatu str. 66.

Henryk Wójcik — Walczyłem, teraz pracuję, str. 31, **Emil Zola** — Klęska, str. 214, **Andrè Marty** — Dni chwały, str. 110, **Stefan Ignar**— Chłopi w obronie pokoju, str. 31, **Ilia Erenburg** — Burza, II tomy, str. 372 i 504, **Teodor Dreiser** — Szaniec str. 330, **Siemion Babajewski** — Kawaler złotej gwiazdy, str. 327.

WYDAWNICTWO „PRASA WOJSKOWA"

A. Kowalewski — Szlak bojowy Armii Radzieckiej, str. 194, **Andrzej Nonas** — Atletyka terenowa str. 81, **O Armii Radzieckiej** — str. 223, **O Stalinie** — str. 173, **J. Urszenko** — O bojowych tradycjach Armii Radzieckiej str. 57, **Strategia zwycięstwa** str. 107, **M. Bragin** — Zwycięskie czołgi str. 62, **Konstanty Rokossowski** — Stalin, największy strateg naszych czasów str. 68, **Michał Sumiński**—Rejsy bałtyckie str. 84, **D. Kraminow** — Drugi front.

„PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY"

Sasuly Richard — IG. Farben str. 274, **Heyn Stefan** — Inwazja, II tomy, **Iwan Wazow** — Pod jarzmem, II tomy, str. 261 i 291, **Willi Bredel** — Spotkanie nad Ebro str. 215, **Alojzy Jirasek** — Uroki świata str. 221, **Joseph Conrad** — Smuga cienia str. 161, **Vladimir Pozner** — Stany nie bardzo Zjednoczone str. 269, **Wiaczesław Szyszkow** — Jemelian Pugaczow, III tomy, **Stanisław R. Dobrowolski**—Notatnik Warszawski str. 155, **Vladimir Pozner** — Ludzie z jednej wsi str. 220, **Frano Kral** — Zakręt pod Rachowem str. 284.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr 7.
Prenumerata i Kolportaż: P. P. K. „Ruch", Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25.
Tel. Red. Nacz. 727-86 Tel Redakcji 751-80 do 89 wewnetrzny 23 i 97
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. - OSW. „CZYTELNIK"
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISOW NIE ZWRACA.
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 100,—zł.; kwartalnie 300,—zł.; półrocznie 600,—zł.; rocznie 960,— zł Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa VII—1080/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś".
Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik". Marszałkowska 3/5
B-127291